

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V

Warszawa, 14 sierpień 1949 r.

Nr 32 (194)

TREŚĆ NUMERU: Ryszard Kapuściński — Wiersze; Irena Sławińska — „Pod słońcem szatana“; Józef Bieniek — Bóg zapać; Mikołaj Rostworowski — Poezje; Zygmunt Kubiak — Alchemia satyry; Zygmunt Lichniak — Dobraczyński „in flagranti“; M. A. Wasilewski — Czy przewrót w genetyce; Czytelnik uważa, że...

Tadeusz Mazowiecki

PRAWO DO TWÓRCZEJ PRACY

Zagadnienie pracy jest problemem tak szerokim i nastrojącym tyle szczegółowych elementów do dyskusji, że jakimś bardziej ogólnym rozważaniem na ten temat grozi zawsze niebezpieczeństwo uproszczeń i nadmiaru uogólnień.

Będziemy starać się ich unikać wskazując jedynie na — jak się wydaje — najbardziej centralne aspekty tego zagadnienia.

Mówiąc o wielkości problemu nie chcemy poprzestać tylko na opisowym stwierdzeniu tego faktu. Chcemy jednocześnie podkreślić że ta ważność nie rodzi się z próżni, ale ma swoje doniosłe źródła społeczne i doniosłe społeczne konsekwencje.

Wynika to stąd, że praca wypełniając życie ludzkie i będąc podstawą cywilizacyjnego rozwoju społeczeństw, stawiała zawsze przed jednostką i przed zorganizowaną społecznością potrzebę najracjonalniejszej, nie tylko w technicznym, ale i w humanistycznym tego słowa znaczeniu, organizacji tej dziedziny życia ludzkiego.

Stąd też centralnym punktem wszystkich ogólnych rozważań o pracy jest problem znaczenia jej dla jednostki, problem społecznego sensu pracy, jak też konsekwencji, które stąd dla celowej organizacji społecznego współzycia, wynikają.

Praca jako akt twórczy

Sformułowanie powyższego podtytułu budzić może duże zastrzeżenia. Zapytamy od razu: gdzie dopatrzeć się można twórczego aktu w pracy niewolnika w starożytności lub w pracy pańszczyźnianego chłopca, czy choćby w wielu rodzajach pracy, w naszych czasach.

Oczywiście nie mamy zamiaru temu przeczyć. Nie chodzi tu nam jednak narazie o historię ewolucji różnych form pracy i ich ocenę, lecz o doszukanie się istotnego, właściwego sensu pracy dla człowieka, dla jego pełnego rozwoju osobowego, a co za tym idzie i dla zdrowego współzycia społecznego.

Praca jest potrzebą człowieka. Potrzebą nie tylko ze względu na niezastąpione znaczenie jej rezultatów umożliwiających egzystencję biologiczną człowieka i postęp ekonomiczny i kulturalny społeczeństw. Praca jest potrzebą człowieka wynikającą z jego natury. Jest potrzebą jego psycho - fizycznej struktury. „Praca jest nie tylko smutną

koniecznością, nie tylko ratunkiem przed głodem i chłodem, ale jest potrzebą rozumnej natury człowieka, który dopiero przez pracę poznaje w pełni siebie i całkowicie się wypowiada¹⁾.

Z naszego więc punktu widzenia praca, co do swej istoty, nie jest zjawiskiem przemijającym, historycznym. Historyczne są dla nas tylko formy pracy, które ulegają ciągłej ewolucji wraz z rozwojem cywilizacji i zmianami form współzycia zbiorowego.

Pełne wypowiedzianie się człowieka przez pracę, słowem zaspakajanie przez człowieka jednej z najistotniejszych jego potrzeb, potrzeby pracy, ma miejsce jedynie wówczas, kiedy praca staje się aktem twórczym. Nie chodzi tu oczywiście o twórczość w sensie tworzenia rzeczy nowych. Twórczy stosunek do pracy oznacza pełne włączenie osobowości człowieka w proces działania. Jest to osiągalne oczywiście tylko przy istnieniu niezbędnych warunków, które taki stosunek do pracy czynią możliwym.

Dokładne omówienie tych warunków musiałyby być przedmiotem bardziej szczegółowej analizy. Wymieniamy tu tylko te z nich, które wydają nam się niezbędne, najbardziej podstawowe:

1) Praca musi zapewniać podstawy do egzystencji materialnej i kulturalnego rozwoju pracującego i jego rodziny.

2) Jednostka musi posiadać świadomość sprawiedliwego podziału efektu pracy pomiędzy siebie, a całe społeczeństwo. Oddając swoją pracę społeczeństwu musi posiadać świadomość, że praca jej przynosi korzyści całości społecznej, a nie wyłącznie poszczególnym jednostkom czy grupom, a więc że oddawana społeczeństwu część efektów pracy pośrednio wraca do pracującego.

3) Rodzaj pracy musi odpowiadać psycho - fizycznym dyspozycjom pracującego.

4) Praca wykluczająca twórczy udział osobowości człowieka musi być przekazywana maszynom.

5) Społeczna organizacja pracy opiera się na bezpośrednim zainteresowaniu pracującego w procesie pracy. Innymi słowy pracujący biorąc udział w wykonywaniu posiada prawo ini-

cyjatywy twórczej oraz świadomość swego pośredniego udziału w kierownictwie procesem pracy. Jednostka poczuwa się wtedy do odpowiedzialności społecznej za własny odcinek pracy i za całość procesu pracy, w którym uczestniczy.

6) Organizacja współzycia zbiorowego oparta jest na zasadzie awansu do wyższych funkcji społecznych przez pracę.

7) Istnieje w społeczeństwie powszechny szacunek nie tylko dla efektu pracy, ale przede wszystkim dla procesu pracy.

Te warunki wydają się nam najbardziej podstawowe. Jak już powiedzieliśmy szczegółowa analiza przerasta ramy niniejszego artykułu.

Praca — stwierdziliśmy — jest potrzebą człowieka. Zaspokojenie tej potrzeby jest więc prawem człowieka. Każdego człowieka. Stąd więc podstawowa teza niniejszych rozważań: prawo do twórczej pracy jest podstawowym prawem każdego człowieka. Prawem wszystkich ludzi.

Ewolucja żądań

Kiedy czytamy w historii zawodowych związków robotniczych czy pracowniczych, lub słyszymy obecnie o żądaniach strajkujących, w których wysuwana jest kwestia prawa do pracy, nie zawsze obejmujemy historyczny sens tego pojęcia. Nie zawsze zdajemy sobie dostateczną sprawę, że ludzkość przekracza już a przynajmniej chce przekroczyć barierę tego historycznego uwarunkowanego minimalizmu w żądaniach ludzi pracy i zdąża do rozwiązań maksymalnych do postawienia żądania prawa do twórczej pracy.

Żądanie to stawia współczesność, stawia rozwój cywilizacji, stawiają ludzie pracy stanowiący olbrzymią większość społeczeństw. Odpowiedź na to żądanie, rozwiązywanie problemów w skali ogólnospołecznej, w interesie wszystkich ludzi pracujących, a nie tylko w interesie uprzywilejowanych grup społecznych — stanowi o wartości i historycznej przyszłości ustroju.

Wysuwane w historii ruchów robotniczych żądanie prawa do pracy było, ściślej biorąc, żądaniem prawa do zatrudnienia. „Prawo do pracy oznacza gwarancję państwa daną każdemu pracownikowi, że dostarczy mu pracy, a zatem i dochodu w zamian za pracę, ilekroć znajdzie

się w trudnym położeniu. O ile państwo dać czy wskazać pracy nie może, udzielić musi odpowiedniego zasiłku²⁾.

Walka o prawa do pracy jest więc walką o umożliwienie biologicznej egzystencji pracującego i jego rodziny.

Pełne prawo do pracy obejmuje jednak jeszcze coś więcej. Jest to prawo do twórczej pracy.

Historia wskazuje wyraźnie, iż z rozwojem cywilizacji i wzrostem społecznego znaczenia warstw pracowniczych następuje proces historycznej ewolucji wymagań stawianych ustrojowi społecznemu. Przebiega ona od żądania prawa do zatrudnienia, do żądania prawa do twórczej pracy.

Znamieniem czasów nowych, czasów które są i idą jest dążenie do rzeczywistej powszechności wszystkich praw. Wśród nich istotne miejsce zajmuje prawo do twórczej pracy.

Zapewnienie prawa do twórczej pracy sprawą ustroju

Z chwilą gdy stwierdzamy, że prawo do twórczej pracy jest przywilejem wszystkich ludzi, staje się jasnym, że realizacja tego powszechnego prawa jest dla nas sprawą ustroju.

Założenia społeczno - gospodarcze ustroju liberalnego oparte o zasadę „laissez faire — laissez passer“ nie czynią temu warunkowi zadość. Jest rzeczą co najmniej udowodnioną, że kompletna nieingerencja państwa w sprawy gospodarcze równa się ingerencji na rzecz jednostek gospodarczo silniejszych. Dzieje rozwoju ustroju liberalnego, jego przerodzenie się w kapitalizm — powyższe zdanie potwierdzają.

Ograniczając rozważania do naszego tematu trzeba stwierdzić, że jakiegokolwiek prawo, jeśli ma być rzeczywiście powszechnie zrealizowane nie może podlegać zasadzie laissez faire, nie może być pozostawione nieskrępowanej inicjatywie jednostek, lecz jego realizację musi brać na siebie zorganizowana społeczność ludzka. Tylko wtedy bowiem istnieje możliwość rzeczywistej powszechności.

Już tylko z tego punktu widzenia trudno się zgodzić ze zdaniem Stefana Kisielewskiego

go, który w swej replice na artykuł K. Koźniewskiego zakreśla słuszność ingerencji państwa tylko do likwidowania przestępstw powstałych z pełnej wolności gospodarczej jednostek. Wydaje nam się, że zadania państwa, jako formy organizacyjnej społeczeństwa, są daleko większe niż tylko rola arbitra regulującego nadużycia wynikające z wad systemu.

Twierdzimy więc, że zadaniem zorganizowanej społeczności jest realizacja powszechności praw, a nie tylko regulowanie tej realizacji dokonywanej w wolnej grze jednostek.

Z powyższego stanowiska wynika dla nas, że powszechna realizacja prawa do twórczej pracy, słowem stworzenie warunków umożliwiających wszystkim ludziom, a przynajmniej optymalnej większości, wytworzenie stosunku do pracy, opierającego się na pełnym włączeniu ich osobowości w proces działania, możliwe jest jedynie przy realizacji takich założeń społeczno-ustrojowych, w których państwo bierze na siebie obowiązek realizatora, a nie tylko regulatora praw jednostek.

Jeżeli się twierdzi, że wszystkie prawa, a w ich ramach prawo do twórczej pracy — są prawami wszystkich — to trzeba pamiętać że ich powszechna i rzeczywista realizacja jest możliwa tylko wówczas, gdy stwarza się niezbędne ku temu warunki, słowem gdy usuwa się przyczyny, które sprawiły, że sam problem realizacji tych praw w ogóle zaistniał. Nikt bowiem nie będzie twierdził, że w ustroju liberalno kapitalistycznym, czy sięgając dalej w ustroju feudalnym nie było ludzi, którzy wykonywali swoją pracę w sposób twórczy. Twierdzeniu takiemu przeczyłyby najoczywistsze fakty. Więcej — w tych systemach ustrojowych stosownie do każdorazowego poziomu cywilizacyjnego istniały warunki do twórczego wykonywania pracy. Ale — trzeba to wyraźnie widzieć, struktura społeczno - gospodarcza tych ustrojów ograniczała korzystanie z tych warunków do pewnej kategorii ludzi. Stąd więc prawo do twórczej pracy było przywilejem wyższych grup społecznych. Oczywiście nie mówimy tu o przywileju formalnym. Przywilej ten wynikał ze struktury społecznej społeczeństwa stanowego, czy też społeczeństwa liberalno-kapitalistycznego opierającej się na nierówności ekonomicznej i

¹⁾ Ks. S. Wyszyński — „Duch pracy ludzkiej“, Włocławek 1946

²⁾ Z. Daszyńska - Golińska — „Praca — zarys socjologii ustawodawstwa i polityki pracy“, Warszawa 1924.

socjalnej ustalonej w hierarchii warstw społecznych.

Stąd też jest dla nas rzeczą jasną, że **niezbędnym warunkiem umożliwiającym upowszechnienie prawa do twórczej pracy jest zlikwidowanie nierówności klasowych mających swe źródło w wadliwej strukturze ekonomicznej społeczeństwa.**

Sądźmy, że tylko wówczas kiedy likwidacja nierówności społecznych wynikających z podziału klasowego jest naczelnym zadaniem ustroju — możliwe jest rzeczywiste upowszechnienie prawa do twórczej pracy. Z tych wszystkich powodów w społeczno-gospodarczych założeniach socjalizmu widzimy możliwość powszechnej realizacji tego prawa.

Świat pracy

Praca, jakkolwiek jest aktem indywidualnym, jest czynnością społeczną. Każde bowiem nasze działanie posiada daleko idące powiązania społeczne. Praca nasza wiąże się z cywilizacyjnym dorobkiem przeszłości, jest silnie skoordynowana z pracą nam współczesnych, a jej rezultaty przekazujemy z kolei przyszłości. Nasze indywidualne działanie jest częścią społecznego procesu pracy.

Fakt, że praca jednostki posiada daleko idące powiązania społeczne, powoduje również doniosłe konsekwencje w zakresie stosunków międzyludzkich. Praca jest bowiem jedną z istotnych więzi społecznych. Więź społeczna pracy jest rezultatem współdziałania.

Innym rodzajem powiązań społecznych kształtowanych przez pracę jest więź powstała w wyniku jednakowego położenia, jednakowego stosunku prawnego do pracy. Różnice w stosunku prawnym do pracy wpływają w sposób istotny na kształtowanie się grup społecznych. Ten różny bowiem stosunek prawny do pracy nie jest tylko formalnym, niezależnym od swego podłoża społecznego, uregulowaniem problemu pracy, lecz jest jednocześnie wyrazem zewnętrznym w faktycznej sytuacji społecznej. W tych wypadkach gdzie stosunek prawny do pracy nie jest wyrazem faktycznego położenia społeczno-ekonomicznego jego wspólność nie odgrywa roli w kształtowaniu oblicza grup społecznych. Tam jednak gdzie prawna sytuacja pracującego jest odbiciem jego rzeczywistej sytuacji społecznej, sama wspólnota jednakowego stosunku prawnego do pracy odgrywa rolę istotnej więzi społecznej. Na tej właśnie więzi jednakowego stosunku prawnego do pracy będącego w swej zdecydowanej większości wyrazem faktycznej wspólności położenia społecznego i ekonomicznego ukształtowała się historycznie wspólnota ludzi tzw. świata pracy.

Określenie — świat pracy — z którym spotykamy się dość często, choćby w prasie codziennej — nie doczekało się dotąd naukowego i ścisłego zdefiniowania. Definicja bowiem tego pojęcia następuje dość trudno. Umiejętność tego terminu, wyróżnienie charakterystycz-

nych dłań elementów i odróżnienie od określeń pokrewnych wymaga dużej precyzji i szczególów badań. Pojęcie takie: jak: warstwa, klasa, naród itp. zostały już w większości uściślo-
ne. Jeśli toczą się co do nich spory teoretyków, to mają one charakter raczej pogłębiający. Podstawy zostały dokonane.

Nowoczesne pojęcie „świat pracy” zrodziła epoka liberalizmu gospodarczego XIX wieku i ówczesna tzw. rewolucja przemysłowa. Rozwój gospodarczy wyzwolony przez wynalazczość i rewolucję techniki, przyniósł wówczas jako zjawisko masowe, nowe formy pracy i nowy ich charakter prawny.

Kryterium wyróżniającym pewne kategorie ludzi, a jednocześnie więzią społeczną łączącą tych ludzi w jedną wspólnotę określaną mianem świata pracy stał się stosunek prawny do pracy — stosunek pracy najemnej. Jak już wyżej powiedzieliśmy ten stosunek prawny był w swej większości prawnym wyrazem faktycznej sytuacji ekonomicznej i społecznej jednostki. Sama więc forma najmu nie jest decydującym elementem o przynależności do świata pracy. Za decydujący element tej przynależności uważać musimy to co ta forma stwierdzała, a mianowicie fakt utrzymywania się wyłącznie z pracy własnej.

Niezapracowanemu pobieraniu korzyści z pracy innych przeciwstawiamy więc jako legitymację przynależności do świata pracy utrzymywanie się z pracy własnej.

Wspólnota ludzi świata pracy jest wspólnotą, którą zrodziły stosunki faktyczne. Rozwój społeczny, którego istotnym znamieniem jest emancypacja społeczna warstw historycznie upośledzonych powoduje, że wspólnota ludzi pracy nie ogranicza się tylko do postawy obronnej, do wywalczenia sobie praw minimalnej egzystencji.

Świat pracy obejmując zdecydowaną większość społeczną wkroczył wyraźnie na arenę historii jako czynnik ofensywny, czynnik mający pełną świadomość swoich praw. Kształtując współczesność posiada on nie tylko ambicję, ale świadomość prawa kształtowania przyszłości. Prawa kształtowania nowych form zbiorowego współżycia.

**

Wydawać się może Czytelnikowi dość dziwnym, że w tych naszych ogólnych i raczej syntetycznych rozważaniach, złączyliśmy dwa problemy: pracy, jako potrzeby twórczej człowieka i problem „świata pracy”.

Prawda, że każdy z tych pro-

blemów jest zagadnieniem tak szerokim, że stanowić może osobno przedmiot daleko szerszych i głębszych dociekań przez rastających ramy nie tylko jednego artykułu i nie tylko nawet jednej książki. Ale nie uczyniliśmy tego z przypadku. Widzimy w związku wzajemnym tych dwóch problemów głębszy sens i bardziej istotne konsekwencje.

Prawo do twórczej pracy jest dla nas prawem wszystkich. Jego powszechna realizacja jest

dla nas sprawą ustroju. Tylko takiego ustroju, którego oblicze kształtuje właśnie świat pracy w myśl ogólnospołecznych interesów.

Świat pracy — widzimy więc realizatorem i gwarantem upowszechnienia prawa do twórczej pracy. Prawa, którego realizacja stanowi o rozwoju osobowym jednostki i decyduje o prawdziwości i słuszności założeń ustrojowych.

Tadeusz Mazowiecki

Ryszard Kapuściński

WIERSZE

Pisane szybkością

Gwizd lokomotywy zranił ciszę.
Sączy się z niej pasmo dymu wąskie.
Wsiadam radośnie na prędkość. Słyszę
jak hasło kół przelatuje nad mostem.

Iskry zakwitają na liściach drzew,
Płoną fontanną błysku, który wędnie
szybko.
Dotyku stalowych kół monotony śpiew
Stoczył się po nasypie i w strumieniu
zniknął.

Łachmany zbóż okrywają mój wzrok.
W oczekiwaniu zgonu są smutne i szare.
Na niebie widzę kłębiasty dymu krok.
Przez puste wagony przelewa się Narew.

Szyny dłuższe niż semaforu ramię
Z budynku stacji wyrastają stukotem
Droźnik lampą otwiera zmroku bramę
Między zderzakami niepewności jazgocze.

Gwiazdy skryły się w muszlach ciemni,
A księżyc zagnieździł się w mroku.
Zabity światłem stacji pociąg już nie pędzi
Zaplątał się w szynach i w mozaice
zwrotnic.

Uzdrowienie

Na wzgórzu zwiędłe kwiaty pocisków.
Strumienie ulic już w dal nie płyną.
Zastygłe leżą i ślepe od błysku,
Co lał się w niebo — skowytu lawiny.

I wiatr nie znalazł życia pośród śmierci,
Ani latarnia okiem wyhupanym
Nie spogląda na ludzi, którzy Prawdę
nieśli.

A jak puchacz na drzewach mrok na
oknach stanął.

W miasto, gdzie uśmiech zasypały cegły,
Ze smutkiem w ciernie wbitym przyszedł
Człowiek.

Jego oczy na gruzach umęczonych legły,
Ręce bólem przetkane zwiastowały —
Nowe...

A dzisiaj pośród drzew dachówki kwitną
I słońce brukuje ulice radośnie.
Nocą gwiazdy wędrują w ciemność
płytką,
Ludzie wyżsi niż domy. Bo Prawda
w nich rośnie.



WACŁAW OLSZEWSKI

PORTRETY

W kraju Tych, Którzy Niczego nie Zapomnieli
i Którzy Niczego się Nie Nauczyli
— biały Anelli śni przy kądzieli,
mesjanizm — świerszczem za piecem kwili.

Stary dziadunio z prakataraktą
szturcha kijaszkiem w romantyczne chabry
(a u sąsiadów — cholera-traktor,
a u sąsiadów — syreny fabryk).

Starczymi dłońmi dotyka klingi,
marzy o Wiedniu, Przedmurzu, Misji
(a tam na świecie srebrne sleepingi,
szklane drapacze, pasy transmisji).

Szlocha prababcia w koronkach wodnych,
łka za miliony, cierpi za ludzkość
(a u sąsiadów stutysięczne tonny,
a u sąsiadów radują się młócką).

Płzeszłość zmarszczona w ramy zmarłej chwili —
portret po mieczu i po kądzieli
— to kraj Tych, Którzy się Niczego Nie Nauczyli,
Ojczyzna Tych, Którzy Niczego Nie Zapomnieli.

Sieci rybackie cienkie i grube
Wore przeciwniarowe tłoczne

Zachowajcie długotrwale dotychczasowe i przyszłe swoje bony nam opale klienteli niezmierniej doskonałości naszych wyrobów

WYTWÓRNIA WYROBÓW TKACKICH
inż. WITOLD IZDEBSKI i S-ka
IWIS SP. AKC. GRODZISK MAZ. I SPÓŁDZIELCZA 2 7067

Irena Sławińska

„POD SŁOŃCEM SZATANA”

Trudno uświadomić sobie, czym najbar dziej podbija ta gwałtowna książka. Co stanowi jej nieodparty czar. Niewątpliwie tak właśnie da się wyrazić pierwsza reakcja przy kontakcie z tą niespokojną lekturą: niepokój, podniecenie, zachłyśnięcie — drzazga, która wbiła się w nas i jątrzy. Dopiero potem można spojrzeć uważnie wstecz, dokonać syntezy wrażeń, uporządkować je.

Książka, opatrzona tak sensacyjnym tytułem, zdecydowała ongiś o karierze literackiej Bernanosa, pasowała go na zawodowego pisarza i to od razu w randze oficera. Bo książka wyszła z rąk człowieka, który nie miał nic wspólnego z konfraternią literatów, nie był dotknięty żadną z zawodowych chorób literackich. I ta wielka świeżość — chciałoby się powiedzieć: — wydziela się z niej jak zapach.

Jeśli literatura Bernanosa tak bardzo rozpała, to niewątpliwie dzięki własnej temperaturze. „Pod słońcem szatana” to książka tak gorąca jak jej tytuł, w którym dopatrywano się spekulowania na sensacji. Niepokój — gorączka — błyskawiczne zmiany sytuacji stanowią o najbardziej zewnętrznym klimacie książki.

Namiętność pisarza, wyczuwana od pierwszej strony, ma wyraźny przedmiot, kieruje się ona nienawistnie przeciwko licznej grupie ludzi, których od razu popycha ku nam autor ze wzgardliwą drwiną. Oto jak brzmi akt prezentacji Galleta, kochanka panny Malorthy „Lekarz woj skowy, pan Gallet, wychowany na brewiarzu Raspaila, deputowany z okręgu. Z wyżyn swej kariery spoziera melancholijnie na raj utracony mieszczańskiego życia, na swój mały, obskurny zaścianek na familijny salon w zielonym rypsie,

gdzie wzdęła się jego nicość. Wierzy on w świat, że jest niebezpieczny dla porządku społecznego i własności, i ubolewając nad jednym: drugim spodziewa się przedłużyć ich własną agonię własnym uporczywym milczeniem i nieobecnością. Nie ocenia się mnie sprawiedliwie — zawołał pewnego razu ten upiór z zastanawiającą szczerością — O tak, w tym sercu żyje czułe sumienie” (str. 12).

Zacięta zjadliwość pisarza sprawia, że informacja przekształca się od razu w oskarżenie. Podobnie w stosunku do innych postaci autor nie może się utrzymać w postawie obiektywnego reformatora: komentuje, drwi, ironizuje, oskarża, wybuch. Uderza też fakt, że tak wiele postaci traktuje autor jako swoich osobistych, nienawistnych przeciwników: doktora Gallet, markiza de Cadignan, proboszcza z Luzarnes, piwowara Malorthy, wreszcie St. Marina. Republikanin — doktor, markiz, piwowar, ksiądz, członek Akademii Francuskiej St. Marin — stają obok siebie, zrównani przez autora w jednym: zadowoleniu z siebie. To ludzie, którzy „nie sobie nie mają do wyrzucenia”, którym codzienne kłamstwo w stosunku do siebie tak już zamuliło sumienie, że zmacona woda straciła już przezroczystość. I tego właśnie spokojnego zadowolenia z siebie nienawidzi Bernanos najwięcej. Dlatego, że kupione jest za cenę kłamstwa, które nie chce znać prawdy o sobie i z obłudnym grymasem odwraca oczy. Ci ludzie są beznadziejnie zgnie-

ni, nic nie wyrwie ich z błogostanu, zamykającego ich zwartą obręczą. Na tym właśnie polega miernota zawiniona, przez którą przeciętą, niezależną od środowiska społecznego ani stopnia wykształcenia.

Grzech poprzestania na sobie obciąża w tej samej mierze piwowara, doktora Gallet jak i członka Akademii Francuskiej. Różni ich tylko rodzaj kłamstwa, jakim łechcą swoją próżność. Piwowara Malorthy rozdyma ambicja kupiecka, honor republikańskiej tradycji, w imię której nie pozwala córce uczyć się katechizmu ani odwiedzać „liziobrazka”, co to za siewa kłopot w najlepszych rodzinach. Oblesny doktor Gallet uważa się za filara społeczeństwa, a ksiądz Sabiroux — za reprezentanta wyższej, postępowej części Kościoła. Najznakomitsze sceny, tętniące prawdziwym nerwem dramatycznym, bu-

skruchy i wiary. Znała cierpienie i walczyła z kłamstwem — to wystarcza, by autor przeciwstawił ją gronu zadowolonych z siebie miernot.

Demaskowanie czcigodnych oszustów tak pasjonuje Bernanosa, że „Świętego z Lumbres” ukaże także w aspekcie przeciętności, miłującej błogi spokój, umiar i rozsądek. Zestawienie straszliwej prawdy o losie księdza, który wyzwalał sam siebie do walki o duszę człowieka z tym oleodrukowym świętym — mocą kontrastu i zgrzytów podkreśli prawdziwy heroizm świętości.

Zresztą o świętości mówi się tu raczej w cudzysłowie, nie wydaje się aby Bernanosa zajmowała „psychologia świętości”. Chodzi o tę postawę moralną: nie ugiętą walkę ze złem i przyjęcie wszystkich konsekwencji tej walki. Oczywiście problem się zwięża, przez to, że bohater książki jest księdzem, w szczególny sposób powołanym i obdarowanym do tego zadania. Nie wiele się dowiadujemy o jego stosunku do Boga w osobistym życiu wewnętrznym — życie to wypełnia bez reszty służba ludziom aż do granic samounicestwienia. Wszystko różni księdza Donissana od zadowolonej z siebie trzódki: on nigdy nie jest pewny siebie, ani nawet swojej drogi, zawsze rozdziera go wewnętrzny niepokój, stawiając mu przed oczy nieistniejące dylematy. Czuje się gorszym i słabszym od innych, sługą nieużytecznym. W tej tylko postaci widzi Bernanos możliwość wspaniałego rozwoju wewnętrznego aż po krańce świętości.

Sprawa osobistego starcia z szatanem, a także szczególnych darów, którymi ks. Donissan został obdarzony, nie została właściwie jednoznacznie postawiona. Jest w tym wiele wiadomości, a nawet dwuznaczności. Bo przecież dar widzenia ma tu dwa oblicza: raz wydaje się łaską Boga to znów pokusą szatana. Podobnie historia ze zmarłym dzieckiem nie znajduje wyraźnego wyjaśnienia.

Heroizm ks. Donissana odbija się w kilku krzywych zwierciadłach. Pierwszym lustrem staje się wprowadzone w prologu środowisko kupca, lekarza i markiza, dalej — listy duchowieństwa, wreszcie trzecim — postać członka Akademii Francuskiej. Dwa pierwsze lustra, pokażą postać niebezpiecznego wariata, cierpiącego na chorobę nerwową — tak bowiem orzekli lekarze prowincjonalni z deputowanym Galletem włącznie. Trzecie lustro zachował Bernanos na koniec — by wydobyc stąd kontrast najbardziej wstrząsający. Dlatego też postać Akademika została wprowadzona w asyście obszernych komentarzy i relacji.

W znakomitym mistrzu literatury, członku Akademii Francuskiej krytyka rodzima domyśliła się jednocześnie Anatola France’a. Jakakolwiek była intencja Bernanosa — w intencji tej tkwił zamiar miażdżącej walki z postawą, jaką w książce reprezentuje Saint Marin: epikurejczyk, pięknoduch, znużony własnym przewianiem tych samych naskórkowych wrażeń „Gienusz jego chełpiący się niezależnością, jest zaiste najpotulniejszy i najbardziej oswojony w świecie... W wykrętnych jego ustach słowa najpewniejsze stały się dwuznaczne i nawet prawda jest sprzedajna”. Przyjeżdża do Lumbres, ciekawego „chłopskiego świątka” „dobrotliwego starca”, który może mu się przydać do następnej książki, a także będzie pomocny w oszukaniu „plugawego strachu śmierci”. Tę właśnie literacką znakomitość wprowadzi Bernanos w końcu książki po to, aby urwać zgrzytem żelaza po szkle: przed uśmiechniętym sceptykiem stanie w konfesjonale miast dobrotliwego świątka — straszliwy trup zameczony na śmierć człowieka. Trup ten rzuca pięknotuchowi słowa wyzwania, zamykające książkę: „Chciałeś mego pokoju, przyjdź i weź go”.

Jeśli powieść trzyma w napięciu od pierwszej do ostatniej strony, jeśli wciąga bezapelacyjnie w swój świat — to przede

wszystkim żarem wewnętrznego napięcia wciąż obecnego, — a następnie wielką śmiałością, konstrukcją. Książkę podtrzymują trzy nierówne przesła: prolog — dzieje panny Malorthy; I część — „Pokusa Rozpaczy”, spotkanie z szatanem i śmierć Mouchette; II cz. „Święty z Lumbres”, oddzielona od poprzedniej przestrzynią kilkudziesięciu lat. Dzieje Mouchette Malorthy, oparte na obfitym materiale fabularnym, mogłyby stanowić odrębną powieść, gdyby nie to, że do jej zakończenia potrzebna jest postać ks. Donissana — dlatego też zakończenie historii trzeba odłożyć na później. Żaden szczegół tego wątku nie pojawi się już w części II, gdzie nowym i bardzo wyczulowanym bohaterem staje się członek Akademii Francuskiej.

Autor przeskakuje nieraz jednym słowem nad niepotrzebnym mu okresem życia postaci, by skupić się tylko na scenach dramatycznie ważkich, konfrontujących postawy moralne.

Maksymalną zwięzłość znajdziemy zwłaszcza w prologu, gdzie z ekspozycją załatwia się autor w pozornie tradycyjny sposób, charakteryzując bezpośrednio postaci — z takim jednak wkładem ironii, że ta tradycyjna relacja uzyskuje świeży smak.

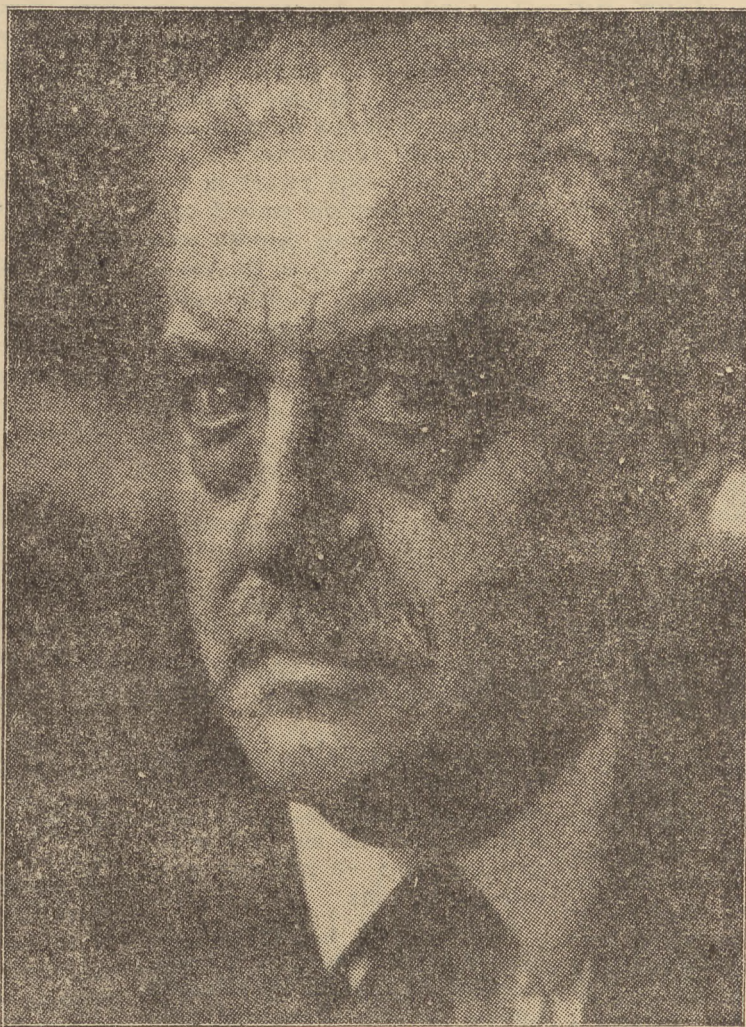
W książce nie ma żadnych dłużyzn, ani pauz czy momentów odprężenia. Utrzymuje się przez cały czas forte, które zamienia się tylko w fortissime. To najbardziej uderzająca cecha powieści. Gdyż książka mimo pozornej nieelitarności — jest w istocie doskonałą powieścią, zrobioną z całą świadomością wymogów struktury powieściowej i bardzo śmiałą w ich użyciu. Przede wszystkim możemy obserwować wielką celowość wprowadzonych wątków i postaci. Na pozór całe dzieje panny Malorthy są niepotrzebne, bardzo luźno związane z historią księdza, a przecież związane okazuje się istotny. Wszystkie postaci tam występujące z którymi ks. Donissan nie wejdzie nigdy w bezpośredni kontakt, potrzebne są do postawienia środowiska i szanownej elity parafii za którą cierpi jej wikary. W tej dwutorowej powieści bowiem postawienie środowiska współczesnej Francji jest niemniej ważne niż sprawa ks. Donissana. Właśnie dlatego, że świat, ukazany przez autora, jest tak zakłamany, małoduszny i zachwycony sobą — potrzeba aż takiego wysiłku, takiego wydarcia się z przeciętności, aby obie amplitudy małoduszności i heroizmu były równe. Tajemnica sprawiedliwości, zrównoważenia tych obu wychyleń rozwija się na płaszczyźnie dogmatu Świętych Obcowania, zawsze obecny w powieści katolickiej.

Tezy autorskie realizują się w świetnie postawionych postaciach i rozwoju akcji. Obok tego jednak nie cofa się autor przed bardzo ryzykownym wkładem własnych komentarzy i uogólnień. Wydaje się, że cały ładunek obserwacji i przemyśleń nie może się pomieścić w ramach powieściowej realizacji. Ten element nie ma jednak żadnych akcentów dydaktycznych ani też cech budującego morału. Partie te wyostreza najprzenikliwsza ironia, toteż nigdy nie stają się nużące ani nudne.

Bernanos jest nie tylko świetnym obserwatorem i potężnym ironistą. Lecz także poetą o żywej, twórczej wyobraźni. Tym się zapewne tłumaczy skłonność do syntezy, zwięzłość tak w scenach dramatycznych jak i opisach. Kilka fragmentów ledwo narzuconych wyobraźni — i już powstaje cały obraz.

Tłumacz stanął istotnie przed trudnym zadaniem. Język Bernanosa jest bardzo mocny, niewątpliwie wyłamuje się ze skostniałych formuł i metafor, operuje zwłaszcza w ironicznych partiach i wielkim bogactwem słownika, cieniuje wyrazy. Przekład Aleksandra Wata trafia w ten zasadniczy charakter. Jeśli nawet pewne wyrażenia nie wydają się szczęśliwe, ogólny rytm powściągniętej ironią gwałtowności jest w polskim przekładzie również obecny.

Irena Sławińska



Jerzy Bernanos

Józef Bieniek

B O G Z A P Ł A Ć

Oddział nasz liczył czterdziestu ośmiu ludzi — przedziwny zlepek społeczny, z olbrzymią przewagą młodzieży chłopskiej. Był tu więc parobek, któremu zmierzła służba u dokuczliwego gazdy i student Akademii Sztuk Pięknych — demokratyzujące się hrabiątko, o sławnym w historii nazwisku, byli synowie wiejskiej biedoty, uciekający przed branką do Niemiec, był kowal, palacz fabryczny i szewc, był prawnik, inżynier i lekarz. Jak w Arce Noego — po trochu wszelkich odmian klasowych i rasowych. Tak — bo mieliśmy jeszcze Żyda i rosyjskiego kapitana-pilota, z zestrzelonego nad Gorcami samolotu. Dowodził oddziałem nauczyciel — porucznik rezerwy, jego zastępstwo pełnił autentyczny ksiądz, były wikary miasteczkowej parafii — syn chłopca z tutejszej okolicy.

Tych trzech: ksiądz, Żyd i Rosjanin stanowili najbardziej kontrastowe grupy psychiczne, wyróżniające się jaskrawo na tle i tak już mocno zróżnicowanej gromady skrajnie odmiennymi światopoglądami, gatunkiem i skalą inteligencji oraz cechami charakteru. Ksiądz, Kostka, krótko przezwany, gwałtowny w mowie i czynach, apodyktyczny, nie uznający sprzeciwów i właściwy dowódca oddziału, był niesłychanie skomplikowaną i niewyównaną indywidualnością. Wszystkiemu co czynił oddawał całego siebie. Gdy walczył — to jak diabeł, gdy się modlił — to niczym święty, gdy kochał — to jak najlepsza matka, ale gdy go porwała krótką jak burza złość — to nie daj Boże nawinąć mu się przed oczy. O żołnierzy dbał z istic macierzyńską troskliwością, ale przewinięcia karał surowo i bezwzględnie. Jemu też zawdzięczał oddział żelazną dyscyplinę oraz śmiałość i czystość partyzanckiego działania.

Żyd, były rzeźnik, nazwany w oddziale z racji swej potężnej budowy Słoniem, przeszedł tak wiele, że zapomniał się śmiać. Stracił wszystko i wszystkich. Sam oficjalnie rozstrzelany z dużą grupą współwyznawców, cudem tylko uniknął śmierci, gdyż kula oddana ręką pijanego zbira, przeszła bokiem głowy, nie naruszając jej ważniejszych narządów. Nim po odjeździe oprawców nadszedł na miejsce egzekucji oddział junaków z Baudiensu celem pogrzebania straconych, Słoń oprzytomniawszy wygramolił się ze stosu trupów i nagusienki, jak go Pan Bóg stworzył, uciekł w pobliski las, skąd noca podszedł do wioski, gdzie go litościwy chłop oddział, wyleczył i przechował do czasu pojawienia się w tych stronach naszego oddziału. W oddziale był jednym z najwaleczniejszych żołnierzy, choć rozsądkiem bitewnym nie miał za grosz. Zacięty i ponury, nie odzywając się prawie nigdy, szedł na ślepo gdzie kazano i rwał beztrosko co w rękę wpadło.

Kapitan Grisza, z Moskwy rodem, miał w sobie dziwną pogodę, którą daje pewnym osobnikom przyrodzoną dobroć i szczerą oraz przekonanie, że nie warto od życia wymagać więcej niż się jest zdolnym samemu zdobyć. Cichy i uśmiech-

nięty, miał zawsze dla każdego przyjazny gest i dobre słowo. W najcięższych dla oddziału chwilach dźwigał grzęznących w depresji uciechającymi „złazkami” i przepięknymi melodiami nadwożańskich dum.

Zaraz po wejściu do oddziału Słonia i Griszy, Kostka, jak każdy młody a żarliwy ksiądz, przepojony apostołskimi ambicjami, rozpoczął skoncentrowany atak na obydwoh, w błogiej nadziei zdobycia ich dusz dla Chrystusa. Nachodził najpierw Słonia, który godzinami całymi siedział jak martwy gdzieś w najdalszym kącie obozu, trawiając kamienny pokarm krzywdy.

Szumiał chłodnym oddechem stary las i migotały jak srebrne centki zagubione w gęstwinie wysokie tony ptaszęcych pieśni. Poprzez zielony strop przeciskało się słońce waziotkami smużkami blasku, gładząc niby matką gorącymi dłońmi straszliwie sponiewieraną twarz Słonia. Kostka podchodził cichutko krokiem jakim się stąpa w obliczu ciężko chorego i powołutku zaczynał pukać w tragiczną skorupę bolesnej zadumy garsciami słów najstaranniej obmyślonych i wymodulowanych. Wymowny był ksiądz Kostka. Gorące i żarliwe słowa płynęły długimi falami, lub kapały jak krople miodu, pragnąc zmyć z okaleczonego serca żrącą otokę bólu i zalać balsamem ukojenia piekącą zadrę krzywdy.

Ksiądz, gdy raz zaczął, zapalał się coraz mocniej i mówił. Coraz namiętniej, coraz żarliwie mówił i mówił. O niezbadanych wyrokach Opatrzności i dziwnych drogach losu ludzkiego, o Bogu, który jest wielki, potężny i dobry. Słoń milczał — zawzięcie, uparcie, niezmiennie. Przepalona płomieniem nieszczęścia dusza była jak skała — zimna i obca wszystkiemu, co piękne i wzniosłe. W straszliwym zamęcie ponurych zdarzeń zgubił wiarę w jakakolwiek i czyjakolwiek dobroć. Pozostał bryła materii, dla której jedynie dostępnymi uczuciami były: gniotący ciężar krzywdy i palące pragnienie zemsty. Ksiądz i jego słowa były w tym wypadku podobne słowikowi śpiewającemu upojone hymny na suchej gałęzi złamanego drzewa.

Po wielekroć ponawiał uparty ksiądz próby wdarcia się z obietnicą ciszy do cierpiącego serca, ale wciąż bez skutku. Słoń mało słuchał, a jeszcze mniej rozumiał. Siedział w milczeniu, z twarzą ukrytą w dłońiach, niby stężyły w straszliwym ucisku bólu posąg krzywdy. Czasem podnosił głowę i popatrzywszy niewidzącymi oczyma na mówiącego, zapadał znów w poprzedni stan, albo dźwigał się bez słowa i odchodził ciężkim krokiem w odległe miejsca, gdzie mógł spokojnie błędzić w ponurym kręgu swych doznań i przeżyć.

Aż raz, wyprowadzony z równowagi nieustępliwą postawą księdza zerwał się wybuchając niespodziewanie jak dawno wystygły wulkan, lawą buntu.

— Odejdź! — krzyknął głosem ochrypłym, co brzmiało jak zgrzyt żelaza po szkło — odejdź! To, co mówisz, jest kłamstwem! Nie ma Boga! Gdyby był nie dałby zginać moim ma-

lenkim dzieciom, mojej żonie i matce — mojemu narodowi!

A gdy ksiądz chciał jeszcze coś mówić, tamten zamachał gwałtownie rękami, zatkał sobie uszy i uciekł w las.

Nie zrażony Kostka zabrał się z kolei do Griszy. Poszło mu o tyle lepiej, że kapitan chętnie gawędził i słuchał. Był inteligentem i lubił rozmowy, w których mógł się wykazać wiedzą opartą, jak sądził, na czymś najbardziej pewnym — bo na materii.

Dyskutowali zawzięcie i gorąco godzinami całymi. Raz spokojnie z minami zaprzysięgłych Sokratesów, to znów gwałtownie się klójąc i strzelając gęsto najcięższymi cytatami z najcenniejszych dzieł Ojców Kościoła i twórców komunizmu. Obydwaj jednak równie mocni w nabytych i rozbudowanych prawdach kończyli dysputy z takim samym skutkiem, jak je zaczynali.

Zwykle zresztą pierwszy ustępował Grisza.

— Chwatit, Kostia, chwatit — mówił — zawtra pogaworim apiat.

Albo znużony kładł księdzu rękę na ramieniu i tłumaczył chytrze:

— Słuszaj Kostia, ty charoszij czaławiek, no łuczszij sądat czem pop — daj pokurit.

Zastrzelony takim zwrotem Kostka milknął, wyciągał potężny kapciuch i częstując towarzyszy mocną machorką miejscowej hodowli przechodził na pogawędkę o zwykłych i niezwykłych sprawach, jakimi zarastało codzienne życie oddziału.

Ci trzej, tak bardzo różni i dalecy wyrównywali się jedynie i bez zastrzeżeń w obliczu wroga. Porywczy ksiądz, tragiczny Żyd i dobroduszny moskwiczanie stawali się jak na komendę jakąś przedziwną trójcą, jednym pragnieniem opętana i z jednej złoźną woli.

Była noc. Majowa, uroczą i tragiczną. Księżyc łaskotał mrok dźbiąc srebrnymi palcami zimnego blasku w ciemnych głębiach, a wokół niego wierzycy się gwiazdy, niespokojne jak dzieci na kazaniu. W rozrzedzonej pomroce majaczyły potężne cielstka w górach, odzianych czarną sierścią lasów, a w dolinach zasypanych gęstym pyłem cienia białeły słabo grupy osiedli. Stały całe w sadach i teraz szedł z tamtąd leciuchny powiew niosąc fale upojnych woli.

Oddział przebiwszy się przez pierścień silnej obławy szedł skroś przetrzebionych lasów. Podhalał ku wyznaczonemu rozkazem celowi. Ludzie śmiertelnie znużeni, leżli niemrawo, potykając się o korzenie i pniaki. Raz po raz głęboką ciszę rozlupywał czyjś zły głos, sypiący przekleństwami — znak, że ktoś potknął się, upadł, lub wyrzwał sennym łbem o pień.

Przodem jak zwykle szedł Kostka, szepcząc modlitwy, obok kuszykał ranny w nogę komendant Jaksza, za nim Grisza i reszta żołnierzy, a w końcu, jak zwykle samotny i jak zwykle ponury Słoń.

Nad ranem napotkaliśmy u skraju lasu samotną i pustą chatę. Zdrożeni, po dwóch dobach walk i marszu pragnęliśmy jedynie odpocząć. Stara chata, opuszczona i na uboczu, wyda-

ła się nam czymś tak drogim, jak dom ojcowski dla nędzara, który po latach nieudanej wędrówki zawita do rodzinnej wioski. Zostaliśmy. Ale nie po to by spocząć.

Prawie ułożyliśmy się by wyprostować zmęczone kości i mdlejące siły pokręcić gaską upragnionego snu, gdy wpadł wartownik z meldunkiem, że słychać auta. Znieczulony straszliwym zmęczeniem oddział przyjął tę wiadomość prawie obojętnie.

— To i co — mruknął Jaksza ziewając na całą szerokość komendantkiej gęby — stoimy przecież o parę kilometrów od ludnej drogi, po której co parę minut ktoś jedzie. Obserwujcie pilnie dalej, a my tym czasem drzemniemy trochę.

Wartownik wyszedł, a gdy pół godziny później wpadł po raz drugi, było już za późno. Silne oddziały żandarmerii i policji otaczały wieś zwartym koronem, by pomścić śmierć czterech gestapowców, którzy wczoraj właśnie tu obok tej wioski spalili się razem z autem, spruci kulami partyzantów.

Nim rozespany oddział zdążył się pozbierać i wycofać w las, od jego właśnie strony ukazała się rozsypana w tyralierze kompania „siwków”, zamykając nam drogę. Ludzie straszając błyskawicznie resztki sennej tępoty zaczęli się denerwować myśląc głośno i każdy po swemu co czynić wypada. Kilku zdradzało ochotę do ucieczki na własną rękę. Chwilowe rozprężenie ujarzmił z miejsca Kostka.

— Broń przygotować do strzału i leżeć cicho. Gdy przejdą obok, napadniemy ich z tyłu, wytłumaczył, ile się da i w las, gdy zagładną — rąbamy przejście i też w las.

Stanowczość i szybkość decyzji dowództwa — to w takich momentach połowa zwycięstwa. Ludzie ucichli. Porażoną nalożem strachu uwagę dźwignął i ułagodził mocny sens rozkazu. Pokładli się spokojnie, obserwując poprzez szpary ruchy wroga.

Niemcy tymczasem szli pewni siebie i butni, gładząc głośno i rechocząc grubym śmiechem. Stara chata bez okien i drzwi, z dachem przelamanym jak grzbiet dorożkarskiej chabety, wyglądała istotnie niewinnie i potulnie. Przeszli więc obok nie zwracając na rudere uwagi. Naraz w krowi móżg któregoś z nich wpadł pomysł zabawy. Zagadał coś i uzyskawszy aprobatę oderwał się od reszty idąc ku chacie z widocznym zamiarem podpalenia jej. Za nim poszło jeszcze trzech. Byli już blisko. Młody rudzielec, dowcipując głośno, wyjął zapalniczkę i podpalił skręconą gazetę. Ruszyli z płonącym zwitkiem ku strzesze.

W tej chwili padły z chaty dobrze wycelowane strzały i wszyscy czterech, jak na komendę runęli kopiąc i miotając się ostatnimi zrywami uciekającego życia. Rudy, padając dotknął głową płonącej gazety i za chwilę jego bujna czupryna znikła w ogniu, odlatując gołą jak jaśół czaszkę.

Z chaty w tym momencie wysypała się cała oddział i zajął wygodną pozycję w głębokim wygonie biegnącym akurat w stro-

nę lasu. Wewnątrz pozostał tylko zaciętrzewiony Grisza, waląc z RKM-u w stronę ogłupiających i przerażonych Niemców. Ci jednak szybko ochłonęli i kryjąc się w zagłębieniach gruntu otworzyli gwałtowny ogień. Odpowiadaliśmy im z wolna, szanując amunicję, bezpieczni w dobrym stanowisku. Jedynie Grisza prał jak furia. Toteż na nim skoncentrował się ogień, niemiecki, narastający coraz silniej, gdyż od strony wsi nadciągały wciąż nowe grupy żołnierzy.

W pewnej chwili Grisza uciekł i równocześnie dach chaty zaczął płonąć. Niemcy rozdzielili się teraz na dwa skrzydła i zaczęli skokami obchodzić naszą pozycję, aby odciąć nam drogę do lasu. Sytuacja stawała się groźna. Należało wiać. Ale Grisza, — nie strzelał i nie wychodził.

— Już po nim — stęknął któryś zbolalym głosem.

— Dwóch po Griszę — krzyknął ksiądz — żywy, czy martwy brać! Piorunem!

Skoczył Słoń i Ryba, tęgi parobek, analfabeta, ale chłopak o złotym sercu i lwiej odwadze. Nie dobiegli. Ryba dostał zaraz po kilku krokach. Słoń tuż u wejścia do chaty. Padł połową ciała w sień i tak został przewieszony przez próg. W tej chwili dobiegł nas poprzez trzask kul i syk płomieni słu-miony jęk.

— To Grisza — jęknął żalostnie ksiądz. I nim się ktoś z nas ruszył gwałtownie potężnymi susami w stronę chaty. Dopadł szczęśliwie drzwi i przeskoczywszy nieruchomego już Słonia zniknął w jej wnętrzu, skąd poprzez szpary i okna zaczęły wyciekać nikłe jeszcze strugi płomieni i dymu. Za chwilę ukazał się znów wlokąc Griszę. Zamarliśmy na moment ze zgrozy. W tej bowiem sekundzie zawałił się zżarty pożogą dach, przysypując tamtych dwóch kłębam płomiennej kurzawy.

Poderwaliśmy się w kilku i pełzną pod ławą kul dopadliśmy ich w momencie, gdy osmalony i ledwie żywy Kostka wyłonił się z czeluści, wlekąc ostatkiem siły nieprzytomnego Griszę. Szybko przewlekliśmy obydwoh do wozu przy czym znów trzech żołnierzy otrzymało lekkie na szczęście rany i umknęliśmy w ostatnim momencie przed otoczeniem w zaciszne i bezpieczne głębie lasu.

Pod wieczór dotarliśmy na miejsce nowego postoju. Tu dopiero zcharatany kilkoma kulami Grisza wrócił do przytomności. Pierwszym jego słowem było:

— Gdzie Kostia?

A gdy ksiądz sam cierpiący od licznych poparzeń, ale promienny tą najpiękniejszą radością jaką daje dobry uczynek stanął przy legowisku rannego, ten chwycił mocno jego ręce i ścisnął je żarliwie dziękując:

— Spasiba Wam Kostia, o-czeń spasiba!

Potem na chwilę zamknął oczy i zmarszczył czoło jakby się nad czymś namyślał i znów powiedział:

— Spasiba — eto pa ruski, a po waszemu kak?

— Bóg zapłać — szepnął ksiądz.

— Da, da — podchwycił radośnie Grisza — Bóg zapłać!

Józef Bieniek

Z poezji Mikołaja Rostworowskiego

Ucieczki do poezji

P. Irenie Friemanowej

Uległy we mnie ma instrument
Który nad brzegiem Getsemani
słowem jak chlebem żywi tłumy
i ogród rośnie gdzie był granit.

W dłoniach tak siewnych, że z Nadzieją
zmuszą do wzejścia mak, pszenicę,
jak żdźbło czerwcowe muzycznie
na czule przemieniony skrzypce.

Gram w Jeruzalem, Kanie, Emaus,
wonnym olejkiem tonów chłoszczę
stopy przy których Magdalenie
w lok aureoli schną warkocze.

Który cierpieniem sycisz piękno
i gwoździe są Ci za oklaski!
Najuległejsze struny pękna
w drodze na Górę Trupiej Czaszki.

**

Nadbiegły lżejsze od snu ważek
gdy je zalotny podmuch owiał.
Jak sygnał nieuchwytnych zdarzeń
na rżesach niosły rosę nowiu.

Smukleją w tańcu gdzie muzyką
jest macierzanki zielny urok.
Nie płaczą. Śpiewam kiedy nikną
jak w jedwab owinięte w półmrok.

Nie umiem tropić po zaroślach
dziewcząt, jeleni, strzał pierzastych.
W dłoniach mi został śpiewny poślad,
nuty żalosne jak odjazdy.

Powtarzam bioder kształt liryczny,
piosence jak lustranej tafli
zawieram łoki, brwi, źrenice.
Śpiewam bo cierpieć nie potrafię.

Na brzegu

Podmuch radosny jak wakacje
do zmarszczek toń rozdał.
I rośnie z głuchej irytacji
spieniony nonsens.

Historia smutku trochę innu
lecz prawie ten sam wynik:
Żali się morze, lka dziewczyna;
lzy cenne jak bursztyny.

Tutaj nie tęsknię. Skoro przestrzeń
jest kryształową misą,
gdziekolwiek staniesz — zawsze jesteś
... daleko? Tak, horyzont.

Za nim, a może jeszcze dalej
syreny. Proszę, powiedz
dlaczego zmilkły? Czy korale
da się jak perły łowić?

Już księżyc zapadł w letarg błogi,
rozbudzić go nie umiem.
Co tak usypia? Twoje łoki
czy morze szumem?

Szumi i szumi. Czasem loskot
nagły jak węgorz w plusk nurkuje
i głośnie cisza znów, jak troska,
której nie czujesz.

W poświęcie brodzić po kolana,
piasek i fale gładzić.
Jak wąskie łokcie są. Rozgrzane
czy chłodne bardziej?

Syreny gasły jak szmaragdy,
ich struny Bałtyk połknął.
Czy były smutne? Ty znasz prawdę.
Dokończ!

Koniczyna

Jedno jest: szczęście dla Ojczyzny
i na pustkowiu chleba kromka.
W poszukiwaniu Czterolistnej
zbiegali wszystkie świata łaki.

Chociaż jak słońca błysk na lancach
gaśnie z upływającym wrześnie, —
świeżym zasiewem partyzanckim
kielkuje i dojrzewa leśnie.

Różowe proporczyki lata
nie tracą barwy w śniegu. Piasek
jak deszcz na zakurzonych płatkach
śródskałną rzeźbi wojsku trasę.

Na pylnym trakcie ku nizinom
już nie dziwiły się patrole
czemu różowa koniczyna
nagle ciemnieje w krwawy fiolet

Koniom i ludziom lechce nozdrza
zapachem stajni, domu, pszczelim.
Na bagnach Arnheim, w mgłach Nadodrza
całkiem dokładnie ją widzieli.

Szumiała coraz urodzajniej,
padali na płask żeby rośla.
Pamięć o szczęściu pozostaje
jak trawy woń po sianokosach.

Uczyli: znaleźć Czterolistną
można lecz wcale nie jest łatwo.
Ważne by celnie ziarno cisnąć
i ważne urodzajne lato.

Byleby kwitła ciągle gęsciej,
pokosom wbrew, jak płomień jasna.
Śród koniczyny może szczęście
nareszcie pozna jak odrastać.

Zygmunt Kubiak

Alchemia satyry

Kilka miesięcy temu, w pożegnalnym felietonie świątecznym, przy dźwiękach pośmiertnego okrzyku: „Niech żyje liberalizm!” Kisiel oświadczył uroczysto, że przestaje pisać „podwłosa”. Myśleliśmy, że jest to jeszcze jeden kawał dowcipnego publicysty. Ale rzeczywistość — ku naszemu żalowi — „podwłosa” zniknęła ze szpalt „Tygodnika Powszechnego”. Zamierzaliśmy już rozpocząć akcję mającą na celu zebranie żądanej przez Kisiela ilości podpisów, żeby skłonić go do powrotu, aliści pewnego dnia okazało się, że sam powrócił. Ale tym razem „Pod włos” zostało zastąpione przez „Łopata do głowy”. Poprzedni cykl został więc zamknięty. Obserwator życia kulturalnego i historii satyry może traktować go jako pewną całość.

Wartoby się więc pokusić o pewne wzięcie i tymczasowe ustalenie, co wnoszą „podwłosa” do naszego życia kulturalnego. Sądzę, że bardzo wiele.

Pamiętam, że przeczytałem kiedyś felieton Kisiela, którego wstęp wydał mi się bardzo trafną autocharakterystyką autora, a jednocześnie doskonałym wyjaśnieniem ogólnej nazwy całego cyklu. Były to słowa następujące:

„Trzeba często występować przeciw sobie — oto credo liberała. Cóż to znaczy — występować przeciwko sobie? Znaczy to, że wątpliwość dotyczących własnego stanowiska nie należy tłumić — przeciwnie, należy im zapewnić warunki rozwoju i potem, kiedy już rozwiną się maksymalnie, dopuścić je do walki z owymi pierwotnymi poglądami — samemu zaś pilnie, z napięciem i emocją obserwować koleje i rezultaty tej rozgrywki”.

Tak się zdarzyło, że w jakimś czasie potem spotkałem zupełnie podobną myśl przy lekturze platońskiego „Charmidesa”. W dialogu tym So-

krates w pewnym miejscu podaje w wątpliwość całą intelektualistyczną podstawę swojej doktryny. Na zdumione pytanie drugiego rozmówcy, odpowiada: „Być może, że gadam brednie; a jednak trzeba rozważyć to, co się w duszy jawi, a nie przechodzić obojętnie bokiem, jeżeli tylko ktoś choć trochę o siebie dba”.

To zestawienie przekonało mnie, jak bardzo europejska jest ta postawa intelektualna, którą widzimy w felietonach Kisiela, jak silnie zakorzeniona w naszej kulturalnej tradycji. Nie przynosi to ujemny dla ich oryginalności, wręcz przeciwnie. Kisiel jest we współczesnej literaturze polskiej najprawdziwszym kontynuatorem wielkiej tradycji europejskiej satyry. Uważa się on za „klerka wojującego” i ma do tego najzupełniejsze prawo.

„Klerk wojujący”, stróż prawdy przed mętniactwem rozpowszechnionych opinii, obrońca zdrowego rozsądku a jednocześnie jego groźny inkwizytor — to postać nieodłączna od myśli europejskiej. Bez niej nie byłoby naszej kultury. Narzędziem klerksatyryka jest przekora. Przekora jako metoda. Metoda przeciwstawiania się rozpowszechnionym czy też atrakcyjnym przez swą modną nowość podługom, niekoniecznie w celu ich obalenia, często tylko dla ich rewizji, rewizji podjętej pod wpływem dobrze rozumianej troski o kulturę.

Warto zauważyć, że najbardziej oryginalne i nieoczekiwane wystąpienia Kisiela były często walką o — truizmy. Bardzo charakterystyczny jest pod tym względem felieton pt. „Mniej światła!”, który, nota bene, wywołał wiele nieporozumień. Niektórzy wysnuli wniosek, że autor nakłania literatów do pisania w sposób zawili i niezrozumiały. Dali tym dowód, że nie rozumieją paradoksalnego stylu prawdziwej satyry. W istocie felietoniście chodziło tylko o przypomnienie, że nie zawsze niejasność wyrażania myśli dyskwalifikuje pisarza, bo

czasem jest ona wywołana usilnym dążeniem do uchwycenia rzeczy naprawdę skomplikowanych, nie dających się wypowiedzieć prościej. Twierdzenie zupełnie zrozumiałe, jasne dla każdego, brzmiące wręcz jak truizm. Ale ponieważ wszędzie krzyczy się (zresztą zupełnie słusznie): „piszcie jaśniej!” — dlatego bardzo często zapomina się o drugiej stronie tej sprawy.

Sądzę, że Kisiel jest najbardziej oryginalny i ciekawy tam, gdzie walczy o truizmy. Bo najtrudniejszą rzeczą jest zwrócić komuś uwagę na to, co zawsze leży mu przed nosem; najsilniejsze i najbardziej niezwykle trzeba rzucić światło, żeby oświetlić rzeczy najzwyczajniejsze.

Tym światłem jest w felietonie najczęściej humor. Humor Kisiela nie jest tylko ornamentacją. Należy on do samej istoty jego dialektyki intelektualnej. Któryś z angielskich pisarzy powiedział, że dopóki ludzie naprawdę się śmieją, dopóty są niezdolni do zbrodni. To samo można powiedzieć o życiu umysłowym. Dopóki ludzie potrafią się śmiać, dopóty są uzbrojeni przeciwko wielu fałszom i złudzeniom. Śmiech oczyszcza atmosferę, rozbraja zakłamanie. Kisiel napisał kiedyś „Pochwałę cynizmu”. Myślę, że cynizm to jest doskonałe określenie dla jego metody satyrycznej. Oczywiście, cynizm w pierwotnym, klasycznym znaczeniu tego słowa, cynizm greckiej szkoły filozoficznej cyników, nieśmiertelnych twórców satyry, cynizm jako głos zdrowego rozsądku ratowanego przez śmiech przeciwko nadętemu i zakłamanemu patosowi. Pewien grecki cynik dyskutujący z przedstawicielem szkoły eleatów, usiłującym mu dowiedzieć, że ruch nie istnieje — zamiast odpowiedzi podniósł się i obszedł rynek dookoła ku uciesze publiczności. Pewno, że to nie był argument filozoficzny, ale są momenty, w których jest pożyteczny (dla obu stron) uży-

wanie takich argumentów. Po prostu — dla zachowania równowagi umysłowej. Tej równowagi, dzięki której trzyma się kultura Europy.

Kisiel bardzo słusznie zaznacza, że tego rodzaju cynizm nie może bynajmniej zaszkodzić ludziom szczerze i uczciwie wyznającym jakiekolwiek prawdy, ludziom naprawdę wierzącym. Niebezpieczny jest tylko dla błagierów. Lektura Kisiela przynosi pożytek również tym, którzy się z nim nie zgadzają, albo zgadzają tylko częściowo.

Stawiam tezę, że merytoryczna treść „podwłosa” (bardzo ciekawa, ważna i cenna, choć na pewno podlegająca dyskusji) nie jest ich największą wartością; najważniejszy jest

ich styl intelektualny, ich satyryczna dialektyka; ten styl ustalił ich wysoką rangę literacką i uczynił go cenną (sądzę, że również trwałą) zdobyczą kulturalną.

Kończąc te pobieżne uwagi zaznaczam, że nie miałem bynajmniej ambicji pełnego scharakteryzowania felietonów Kisiela; wymagałoby to dłuższych badań i napisania obszernego studium. Sprawa ta zajmie nie historia literatury. Chciałbym tylko dodać, że dobrze byłoby, gdyby Kisiel znalazł kontynuatorów (którzy by w istocie byli, jak się rzekło, kontynuatorami starej europejskiej tradycji); gdyby stworzył sobie szkołę młodych felietonistów, młodych twórców felietonu intelektualnego

Zygmunt Kubiak

Z prasy...

Na zamówienia kierowane

do
administracji „DZIS i JUTRO”

Sp. Wyd. „PAX”

WYSYLA

powieść

G. BERNANOSA

„POD SŁOŃCEM
SZATANA”

Prosimy o wpłatę zł. 950— za egz.
na konto PKO I-8515 lub przekazem pocztowym

Tydzień kulturalny

PAŃSTWOWE NAGRODY NAUKOWE

KOMITET Ministrów do spraw kultury na posiedzeniu w dniu 21.VII.1949 r. przyznał na wniosek komisji składającej się z przedstawicieli nauki oraz po konsultacji z Naczelną Organizacją Techniczną, Państwowe Nagrody za osiągnięcia w dziedzinie nauki, techniki i organizacji pracy.

Pierwsze nagrody w wysokości po 500.000 zł przyznano: inż. R. CEBERTOWICZOWI, prof. Pol. Gdańskiej za opracowanie metody umacniania gruntu na drodze elektroosmotycznej (cebertyzacja), dr J. DEMBOWSKIEMU, prof. U. Ł. dyrektorowi Instytutu Biologii Doświadczalnej im. Nenckiego za całokształt działalności naukowej, inż. T. HOBLEROWI za wynalazki i patenty z dziedziny produkcji związków azotowych, dr inż. T. M. HUBERTOWI, prof. Pol. Gdańskiej za całokształt działalności, dr R. KOZŁOWSKIEMU, prof. U. W. za dzieło „Graptolity i parę nowych grup zwierzęcych tremadocu polskiego”, dr inż. A. KRUPKOWSKIEMU, prof. Akademii Górniczej za całokształt prac w dziedzinie metalurgii, dr B. NOWAKOWSKIEMU, rektorowi Akademii Lekarskiej w Bytomiu za całokształt prac w dziedzinie higieny pracy i medycyny zawodowej, dr W. SIERPIŃSKIEMU, prof. mat. U. W. za całokształt pracy, dr W. SZAFEROWI, prof. U. J. za całokształt pracy w dziedzinie botaniki i paleobotaniki, prof. dr inż. F. K. SZELĄGOWSKIEMU za opracowanie szeregu projektów wielkich mostów (mostu średnicowego i śląsko-dąbrowskiego), dr inż. T. URBANSKIEMU, prof. Pol. Warszawskiej za opracowanie w skali laboratoryjnej, półtechnicznej i przemysłowej produkcji garbników syntetycznych z odpadkowych surowców krajowych.

Drugie nagrody w wysokości po 300.000 zł przyznano: dr K. Borsukowi, prof. mat. U. W. za całokształt pracy, dr J. Konorskiemu, prof. U. Ł. za całokształt prac z dziedziny neurofizjologii i biopsychologii, dr J. Kowalsowi za opracowanie nowej metody fermentacyjnego otrzymywania butanolu, acetonu i kwasu cytrynowego z melasy, dr K. Kuratowskiemu, prof. mat. U. W., dyrektorowi Państwowego Instytutu Matematycznego za całokształt pracy, dr S. Mazurowi, prof. mat. U. W. za całokształt pracy, dr inż. W. Nowackiemu, prof. Pol. Gdańskiej za działalność naukową w dziedzinie elasto-mechaniki, dr E. Paluchowi, prof. U. Ł. za prace w dziedzinie higieny pracy, inż. Witoldowi Szymanowskiemu, prof. Pol. Warszawskiej za opracowanie szeregu nowoczesnych konstrukcji obrabiar-kowych.

Drugą nagrodę przyznano poza tym następującym zespołom: prof. M. Deblekiemu, inż. Z. Grzonowskiemu, inż. J. Okołowowi, inż. Z. Rytlowi, i prof. Janowi Wernerowi za opracowanie konstrukcyjne i produkcyjne pierwszego polskiego samochodu ciężarowego (Star 20), prof. dr M. Jeżewskiemu i prof. dr inż. L. Szklarskiemu za opracowanie metody elektromagnetycznego sprawdzania lin stalowych, inż. T. Kossowskiemu i inż. R. Sobolskiemu za konstrukcyjne, fabrykacyjne i przemysłowe opracowanie dźwignów portowych.

Ponadto Komitet zamiast nagród w uznaniu wybitnych zasług w dziedzinie nauki nieżyjących: prof. dr J. Blatona i prof. dr J. Rutkowskiego przyznał ich rodzinom kwoty po złotych 300.000.

(Dok. na str. 7)

Nowa książka Dobraczyńskiego) wymaga dokładniejszego omówienia. Jest to szesnasta z kolei pozycja tego pisarza, zamykająca okres piętnastoletniej jego twórczości, odznaczonej ostatnio nagrodą im. Włodzimierza Pietrzaka. Ten „zbieg okoliczności“ prowokuje niejako do próby syntezy, naszkicowania ogólnego portretu literackiego, czy podsumowania do tychczasowych osiągnięć i potknięć pisarza. Mimo to artykuł mój nie będzie ani syntezą krytyczną, ani portretem literackim, ani buchalterią plusów i minusów.

Będzie to możliwie dokładna, możliwie konkretna i możliwie obiektywna analiza jednego tylko dzieła, jednej tylko, najnowszej, pozycji dorobku Jana Dobraczyńskiego.

Opiaram się pokusie sumarycznego ujęcia całokształtu jego pracy nie dlatego, żeby całkowicie przyznawać rację drwinom Irzykowskiego z „bzika syntetyczności“ i nie dlatego, że bym uważał spis syntetycznych artykułów o Dobraczyńskim za dostatecznie długi i całkowicie kwestę wyjaśniającą. Po prostu sądzę, że o pisarzach współczesnych w ogóle, a o Dobraczyńskim w szczególności, mówi się za dużo ogólnych syntetycznych truizmów, a za mało konkretnych, analizą tekstu uargumentowanych, sądów. W atmosferze tej permanentnej syntetyczności rodzi się niebezpieczeństwo mglistej frazeologii, która w gruncie rzeczy ani pisarzowi, ani czytelnikom nic ohyba realnego nie daje. Mówię, bom smutny i sam pełen winy. Na szczęście przeciwstawiają się tej regule świetne artykuły syntetyczne Kisielskiego (w „Tygodniku Powszechnym“), Koźniewskiego (w „Twórczości“), czy Sławińskiej (w „Dziś i Jutro“), które, nie wstydząc się grzechu truizmów i rzucając czytelnika obfitym materiałem informacyjnym, odkrywają pewne tajniki warsztatu Jana Dobraczyńskiego.

Ale nie wielka to sztuka, która udaje się tylko trzy razy. Sądzę, że gdyby takich artykułów napisano nawet... cztery, nie zmieniłoby to przykrych sytuacji, której tragiczną kulminacją jest usankcjonowany już *iure caduco* triumf gołosłownia krytycznego, nadający mocnym epitetom siłę wykonawczą mocnych argumentów. Najgorszej jednak sytuacji nigdy nie należy uważać za beznadziejną. Dlatego wywać trzeba innych i samemu powracać ku troskliwszej, dokładniejszej, konkretniejszej analizie dzieła, które ukazuje przez swoje indywidualne zalety i błędy indywidualne zalety i błędy autora, może jego klasy, a nawet — kto wie — narodu. Ale o tym piszmy potem. Nie zaczynamy ryśować kobyły od ogona. Wszelkie wnioski syntetyczne musi poprzedzić proces możliwie gruntownej analizy. Nie oceniamy książki przed rozcięciem jej kartek. A gdy już rozetniemy kartki, niech marginesy zaroją się naszymi pytaniami, wykrzyknikami oburzenia czy zachwyty. Rozgrzyżmy parę twardych orzechów, aby zbadać czy zdrowe jest ich jądro.

Może kilka godzin takiej lektury zabroni nam mówić o technice pisarskiej Dobraczyńskiego wtedy, gdy z jego piętnastu książek przeczytało się albo... trzydzieści stron, albo codziennie (opuszczając na chybił- trafił miejsca, gdzie „nie ma akcji“) po dwa rozdziały „do poduszki“. Może wtedy zrozumimy, że takie wypowiedzi są równie nieostrożne, jak dumne wyznania tabernika o podchodze

1) Jan Dobraczyński „Święty Miecz“ wyd. Księgarni Zdzisława Gustowskiego, Poznań 1949, str. 356

Zygmunt Lichniak

DOBACZYŃSKI

ni na Zawrat, gdy się w Zakopanem w ogóle nie było, albo panoramę górską oglądało z niebotycznych wyżyn Gubałówki. Może wtedy na krytyka, który postara się zgłębić i ukazać mechanizm artystyczny dzieła przestaną niegrzeczni symflikatorzy rzucać anatemy i wygwizdywać formalizm.

Bo tu chodzi o coś ważniejszego, niż o mniej lub więcej niefortunną nazwę: o czujne, głębokie pochyle nie się nad dziełem myśli, talentu i pracy pisarza. Każdego pisarza. A zwłaszcza tego, który wyrazu swojego szuka niezwykle intensywnie, oddając się cały temu za daniem, poświęcając mu mnóstwo trudu i wysiłku, okupując postęp błędami, czerpiąc z nich gorzką naukę. Takim pisarzem jest Dobraczyński w świetle swojej twórczości.

II

„Święty miecz“ zajmuje w rozwoju tej twórczości miejsce specjalne. Nie tylko dlatego, że jest chronologicznie najnowszym dziełem pisarza i przedstawia nowe, bogaczące jego możliwości osiągnięcia, nie tylko dlatego, że jest niezwykle ambitną kontynuacją olbrzymiej pracy, zainaugurowanej „Wybrańcami gwiazd“, ale dla tego przede wszystkim, że w nim najpełniej, najwyraźniej, najgłębiej wyraziła się idea przewodnia pisarza, główna myśl jego powieści ciopisarskiej twórczości, zaśadniczy cel jego artystycznych trudów: dążenie do zrozumienia i przedstawienia świętości.

Z problemem tym zetknąć się musi każdy prawdziwy pisarz katolicki. Dla każdego jest on najtrudniejszą chyba próbą pióra, najcięższym egzaminem sprawności pisarskiej. Dobraczyński już kilka razy takie próby podejmował. „Mocarz“, „Dwa stopy“, „Przedziwo Jolanty“ to wyniki tych prób. Dzisiaj wydają się one raczej pracami przygotowawczymi, treningiem pisarskim przed „Świętym mieczem“. Bo „Święty miecz“ jest z dotychczasowych prób najbardziej udaną próbą, która i autorowi i czytelnikom może dostarczyć dużej satysfakcji.

Nie chodzi tu o modne dzisiaj wystawianie cenzurek. Chodzi jedynie o stwierdzenie faktu, że ostatnia książka Dobraczyńskiego jest jego najlepszą książką. Jeśli o każdej następnej będzie można to samo powiedzieć droga pisarska Dobraczyńskiego stanie się jedną z najciekawszych dróg.

Tak można określić wartość „Świętego miecza“ na tle poprzednich pozycji pisarskich jego autora. Z określenia tego wynika, że książka ta jest książką doskonałą. Wartość jej postaramy się określić samym procesem analizy. Przypomnienie jednak pozycji tej książki w dorobku pisarskim autora każe zwiększyć czujność i troskliwość zarówno w dokonywaniu analizy jak i wysnuwaniu z niej wniosków.

Pozorna surowość i ostrość tych wniosków jest w stosunku do prostym do uznania i powagi, z jaką każe traktować swą pracę pisarską Jan Dobraczyński.

O pracy tej pisałem już kilkakrotnie i mam prawo przypuszczać, że nikt nie będzie mnie podejrzewał o jednostronność, jeśli — przypominając, że wiele przy poszczególnych pozycjach mówiłem o zaletach pisarskich autora „Najeżdźców“ — dzisiaj skupię

główną uwagę na jego brakach i potknięciach, ujawnionych najwyraźniej jego najlepszą książką.

Bo im bliższy mi jakiś pisarz, im więcej liczę na jego twórczość i im większą wyznaczam według siebie rolę jego pisarstwu w ogólnym rachunku zapotrzebowań kulturalnych, im serdeczniej życzę mu jak najpełniejszego rozwoju, tym mocniej czuję się zobowiązany do omawiania jego niedociągnięć i słabości pisarskich. W stosunku do Dobraczyńskiego tym mniej mam skrupułów, że jest on pisarzem sięgającym ku problematyce najwyższej rangi. Ostatnia jego książka jest historycznym studium powieściowym o św. Pawle. Ktoś, kto miał odwagę pokusić się o nakreślenie postaci jednego z najgorliwszych bojowników Kościoła, ktoś, kto pokusę tę realizuje śmiało i na swój sposób konsekwentnie, ktoś, komu nie odebrała animuszu praca ks. dr prof. Dąbrowskiego na pewno w najbardziej nawet nie gatywniej ocenie znajdzie wiele pozytywnych walorów, wydobędzie dla siebie wiele potwierdzeń własnych doświadczeń czy ostrzeżeń na przyszłość.

Te wyznania wstępne były niezbędne, abym mógł spokojnie zabrać się do analizy głównych elementów — najpierw formalnych, później treściowych — „Świętego miecza“. Jeszcze jedno tylko: oddzielenie tych elementów i ich szufladkowe uschematyzowanie w artykule nie oznacza, że widzę dzieło jako pudełeczko pełne symetrycznych przegródek, w które trzeba wetknąć nos i opisać ich zawartość. Przypominać o tym zawsze warto, aby ktoś nie zrozumił mnie... zbyt dobrze.

III

Mimo wielkiego wkładu pracy pisarskiej, mimo niewątpliwiej wyższości nad poprzednimi pozycjami, „Święty miecz“ nie jest jeszcze książką artysty dostatecznie czujnego we wszystkich sytuacjach. Analiza przeciętnej struktury komórek zdaniowych „Świętego miecza“ wykazuje brak zrozumienia dla pewnych kardynalnych wymagań estetycznych warunkujących naturalny odbiór dzieła.

Konkretyzując zarzut przykładami. Dobraczyński pozwala, aby w jego dziele istniały obok siebie takie jednostki syntaktyczne: „Krzyknął, zrzucił płaszcz i pobiegł tamtemu naprzeciw. Biegając płakał z radości i wykrzykiwał: dzięki Ci, Jezu! dzięki Ci, Jezu! Potem dopadł Pawła i upadł mu do kolan. Całował jego ręce, kolana, płaszcz“ (str. 50).

Zwróćmy uwagę na dwie wady tego typu zespołów syntaktycznych. Pierwsza polega na rezygnacji z jakichkolwiek własnych, indywidualizujących język dzieła, odrębności stylistycznych. Język — klisza, zdanie — stereotyp. Ale zyskuje za to Dobraczyński dokładność opisu, konkretne umieszczenie poszczególnych zachowań się bohaterów w czasie (Ktoś krzyknął, później zdjął płaszcz, później zaczął biec i płakać, później, ukończywszy bieg, upadł do kolan, później, upadłszy do kolan, zaczął je całować) Może to się oplać? Moim zdaniem — raczej obciąża tekst zbyt dużą informacją. Ale druga wada przedstawionego w charakterze przykładu urywka nie znajduje już nawet takiego usprawiedliwienia. Wadą tą

jest brak wykończenia w budowie zdania, jego brulionowość, znajdująca swój wyraz choćby w powtarzaniu identycznych lub podobnych wyrazów. „Krzyknął“ i „wykrzykiwał“ „dopadł“ i „upadł“ „upadł do kolan“ i „całował kolana“. Dobraczyński zapomina o synonimach. A te są przecież jednym z najpospolitszych środków przecięcia leksykalnych i dźwiękowych oporów jednostki syntaktycznej. Może ktoś uzna za przesadną drobiazgowość zatrzymywanie się przy — pozornie — nic nie znaczących chropowatościach czy twardziznach składni. Nie przyznam „ktosiowi“ racji. Małe rzeczy mają często duży wpływ na rzeczy olbrzymie. Z cząstkowych, nieraz nawet nie zanotowanych przez świadomość, doznań estetycznych powstaje pełne wrażenie kontaktu z dobrym lub złym, wspaniałym lub przeciętnym dziełem. Nie chodzi mi o to, aby autor przyrzekał sobie, że na pięćdziesiąt stronach nie powtórzy tego samego wyrazu, albo, żeby przed napisaniem jakiegoś rozdziału słyżał już spadki rytmiczne jego zdań. Chodzi o to, aby nie lekceważył zasadniczych wymagań, jakie mamy prawo stawiać każdemu zespołowi syntaktycznemu, pretendującemu do miana fragmentu literackiego.

Przypatrzmy się jeszcze kilku bez większego trudu wybranym jednostkom syntaktycznym ze „Świętego miecza“.

Np. „wysiedli na brzeg, powędrowali wybrzeżem“ (str. 51). Albo: „... tymczasem pożar doganiał biegnących i zabiegał im drogę. Wtedy dochodziło do scen okropnych, bo gdy pierwsze szeregi chciały zawrócić; dalsze w ślepych pędzie pchały tamtych przed sobą i wrzucały ich w ogień“ (str. 305). Albo: „Krwawa luna płonących na Palatynie pałaców oświetlała drgającym światłem przerażające widowisko“ (str. 306). Lub: „Czy jednak ten wspaniały zaczyn Kościoła nie miał żadnych skaz?“ (str. 349).

Każdy z przytoczonych cytatów wskazuje inne słabości komórki zdaniowej Dobraczyńskiego.

Zdanie ze str. 51 to znana już z poprzednich przykładów nieumiejętność unikania pewnych współbrzmień, które nadają zdaniu charakter chropowatego powtórzenia typu „dopadł — upadł“.

Zdanie ze str. 305 to już grubszą pomyłką w szeregowaniu członów syntaktycznych: „wrzucały ich w ogień“ odnosimy zgodnie z normalnym odczuciem członów zdaniowych do „szeregów“, a nie „biegnących“ (ludzi). To nieporozumienie wywołuje dramatyczny niepokój gramatyczny. A wystarczyłaby chwila większej uwagi, aby uniknąć tak dwuznacznej sytuacji. Ale to jeszcze nie najważniejszy żal do autora. Ważniejsze jest co innego: pisarz nie powinien nas wzruszać przymiotnikami. Nie ma prawa wzmawiać w nas, że coś było „okropne“. Ma obowiązek okropność przedstawić, jeśli wrażenie to jest mu potrzebne do „urobienia“ czytelnika.

Zdanie ze str. 306 — przez trzy imiesłowy, mające skrócić całość, nabrało charakteru pustego frazesu retorycznego. I znów — jak tam „okropne sceny“ — tak tu „przerażające widowisko“ jest nieuprawnionym korzystaniem z kredytu zaufania czytelnika. W innym miejscu (str. 81) autor mówi,

„IN FLAGRANTI”

że ktoś zaczął opowiadać „ohydna historia” o Marii.

Te przymiotniki określają podmiot, a nie przedmiot. Mówią o wrażliwości w opisywanych zjawiskach, a które przymiotnikami tylko zasygnalizował. Takie sygnałizowanie to za mało dla ekspresji artystycznej.

Zdanie ze strony 349 sprawia inny kłopot. Ani rusz nie mogą sobie wyobrazić skazy na zaczynie. Na kryształach, owszem. Ale na ciągliwej kłuchowatej masie? Metafora jest konstruktywnym elementem artystycznym, ale metafora zobowiązuje do minimalnej choćby konsekwencji.

Jeszcze raz — pełen żarliwej troski o jak najlepsze zrozumienie tych słów — przypominam: często małe rzeczy mają duży wpływ na rzeczy olbrzymie. Częstkowe doznania estetyczne sumują się w ogólnym wrażeniu. W książce gra każdy wielokropki, każdy przecinek, każde zdanie. Każdy błąd jest, jak zgrzyt żelaza po szkło.

Wysnuć z tego stwierdzenia praktycznych konsekwencji przedstawiam czytelnikowi i autorowi.

IV

Niepokoje mnie już sprawa innych pomyłek pisarskich, które także wymagają osobnego potraktowania.

Chodzi mi o tzw. encyklopedyzmy w „Świętym mieczu”. Terminem tym określiam błędny dla właściwej percepcji utworu balast e-rudycji i informacji.

Wiemy, że „Święty miecz” jest powieścią historyczną, że autor zdobył jakiegoś quantum wiedzy o epoce, którą przedstawia, że część tej wiedzy jest czytelnikowi potrzebna dla zrozumienia utworu, że autor musi czytelnikowi do minimum wiadomości historycznych przekazać w możliwie zbeletryzowanej formie. Ale po co nudzić go wstawkami o sprawach wtórnych, nieistotnych dla właściwej percepcji utworu? Po co opowiadać dzieje uroczystych ofiar ku czci Bala-Sandona (str. 36)? Po co, wędrując z Pawłem ku Jerozolimie, musimy dowiadywać się, że „budowę nowego muru podjął przed niewielu laty Agryppa Starszy” (64)? Po co musimy się dowiadywać historyjek o wieżach Hippikosa, Fazaela i Mariamma (str. 64)? Nic mi nie pomaga przy lekturze „Świętego miecza”, jeśli dowiem się na (str. 64), że mała tarcza zwała się „elipeus”, włócznia „pilum” a podkute trzewiki „calligae”. Dokładniejsze informacje tego typu mogą znaleźć choćby u Konciewicza. Sądzę, że u Konciewicza dla takich informacji jest miejsce właściwsze.

Encyklopedyzm Dobraczyńskiego najwięcej zaciążył nad powieścią w posłowniu. Wszystko w książce jest ważne i wszystko się wlicza do rachunku. Dlatego dziesięć stron chaotycznych i zupełnie książce do szczęścia niepotrzebnych informacji stanowi poważny błąd pisarski. Dlaczego tak mała była troska o całość kompozycyjną? Po co to piąte koło u wozu? Po co bagaż źle napisanych, na łapu-capu zebranych w kupę ciekawostek historycznych? Postacie powinny się tłumaczyć w toku akcji powieściowej. Jeśli jednak już musimy znosić kaprysy pisarskie, dlaczego musimy ugiąć się pod ciężarem dziwnej logiki dopiskowych wywodów? Oto polemika Dobraczyńskiego z Tacytem zarzucającym Neronowi komedianctwo.

„Uświadomijmy sobie, że w polyskliwym rzymskim słońcu, które w tamtym czasie, kto wie, czy nie świeciło jeszcze mocniej (różnica strojów!) człowiek staje się łatwo komediantem”. Przecież obok Nerona żył Seneka, przecież pod tym samym niebem żył Dante przecież... to nie ma najmniejszego sensu!

Tak samo nie ma sensu usprawianie dliwianie nieliterackim charakterem posłownia zdań makabrycznie zawilich i kulfonowatych. „Te osiemset tysięcy ludzi żyjących na koszt Cezara z rozdawnictwa w Portyku Minuciusza, ten rozpróżniaczony tłum świętujący (stale! — bo tyle czasu trwały doroczne oficjalne święta państwowo-religijne) sto osiemdziesiąt kilka dni rocznie, (nie licząc świąt nadzwyczajnych), nauczony wysiadywać od rana do wieczora w cyrku (gdzie patrzył na, od trzydziestu do stu, wyścigów — każdy pięć razy wokół bieżni, czyli 2840 m) lub od rana do wieczora w teatrze, lub wreszcie — najmilsze — od rana do wieczora w amfiteatrze, mógł uwielbiać Nerona” (str. 344-5). Dla ludzi mniej cierpliwych wyjaśniam, że tenor tego zdania jest taki: plebs rzymski mógł uwielbiać Nerona.

Jeżeli mimo tych potknięć i mimo wielu innych podobnego typu niedociągnięć książkę Dobraczyńskiego czyta się jako jednolitą i zwartą całość to zasługa w tym umiejętnego skonstruowania szkieletu akcji powieściowej. Dobraczyński-konstruktor ratuje Dobraczyńskiego-stylistę.

V

Konstrukcja fabularna „Świętego miecza” jest konstrukcją przypominającą wallace’owskie powieści kryminalne. Intryga jaką autor zadzierzgnął wokół legendarnego miecza, przypomina intrygi wikłające współczesnych bohaterów we współczesnych powieściach kryminalnych wokół jakiejś drogocennej kolii brylantowej czy tajemniczego wynalazku. To skoncentrowanie wydarzeń wokół jednego ośrodka mogłoby wyjść na złe problemyce książki, która przecież nie wiele ma wspólnego z sensacyjną historią Manahema i Ariego.

Ale Dobraczyński odniósł tutaj zwycięstwo na całej linii: pewne sytuacje wykorzystał dla stworzenia magnesu przyciągającego uwagę, główny punkt ciężkości jednak położył na postaci, św. Pawła, która jest nosicielem najważniejszej idei utworu.

Takie rozłożenie akcentów kompozycyjnych całości stworzyło jednak sytuację dosyć niebezpieczną dla innego już odcinka pracy autorskiej, nie zamykającego się w problematyce kompozycji. Myślę tu o charakterystyce postaci. Postać św. Pawła, która skupiła główną uwagę autora, przesłoniła jednocześnie inne postaci. Po prostu: w książce jest jeden św. Paweł, reszta to cienie. Jednak, profile tych cieni narysowane są ostro i wyraźnie. Czasami nawet przerysowane. Tak jest np. z postacią Ariego. Dlaczego morduje Dorę i Tertuliusa, nie potrafi czytelnikom wyjaśnić. Autor też. Odruch nie tłumaczy zbrodni. Mogła by ją tłumaczyć głębsza analiza psychologiczna, ale tę rezerwuje Dobraczyński tylko dla św. Pawła. Gorzej jednak, że tak, jak motywy zbrodni Ariego, niejasna jest dla nas jego rewolucja wewnętrzna w wyniku,

której zostaje chrześcijaninem. Działanie Łaski tłumaczy tu wszystko i nic. Pisarz katolicki powinien przedstawiać te procesy tak, żeby Łaska nie zastępowała innych argumentów. Dobraczyński nie poszedł tą drogą. Dlatego chyba postaci drugoplanowe trochę się zlewają, nawet w tych wypadkach kiedy odrębności indywidualne powinny wyraźnie występować np. w najbliższym otoczeniu św. Pawła. To różnica dokładności rysunku charakterologicznego go sprawia wrażenie pewnych niebezpiecznych uproszczeń. Uchronił od tych uproszczeń Dobraczyński tylko postać główną.

Święty Paweł występuje przed nami z całą sumą poważnych kompleksów, które konsekwentnie i lojalnie przed naszymi oczyma przewycięża. Retrospektywne ukazanie przemiany Szawła zbliża tę postać do czytelnika jeszcze bardziej. Szkoda wielka, że autor nie uchronił się jednak od dosyć wyraźnego, a w danym wypadku pociągającego niefortunne konsekwencje wpływu Bernanosa. Rozdział trzeci powieści, w którym św. Paweł stacza walkę z fizycznym upostaciowaniem szatana zbyt bezpośrednio przypomina chwyt Bernanosa, polegający na zetknięciu księdza Donissana z tajemniczym prześladowcą. O ile francuskiemu powieściopisarzowi starczyło siły na sugestywną transpozycję zjawisk nadprzyrodzonych na język konkretnych zjawisk porządku przyrodzonego, o tyle ujęcie Dobraczyńskiego jest mierzaniem sił na zamiary. Sam autor waha się w interpretacji owianej sprawy, pozostawiając w czytelniku wrażenie beśpity i nieśmiałości.

VI

Dotykając tej kwestii przechodzimy już z płaszczyzny zagadnień formalnych ku najistotniejszemu kwestiom treściowym. I tam sięga wpływ Bernanosa. Wyraża się on w swoistej koncepcji świętości. Polega ona na maksymalistycznym realizowaniu postulatów wyrzeczenia i ofiary. Jest to świętość męczenników, świętość, której nie osiąga się w życiu codziennym po

przez podnoszenie normalnej pracy ludzkiej do rangi dzieła bożego. Świętość stygmatyków. Bernanos, a z nim Dobraczyński, przedstawianiem świętości budzi dreszcz grozy, ukazuje jej jakieś niemal patologiczne aspekty. Nie ma tu miejsca na koncepcję Marshalla, który w „Chwale córki królewskiej” przez postać księdza Smitha wyraża tezę odmienną, szuka świętości w codziennym wysiłku najprostszego pojmowania myśli i przykazań Bożych. Oczywiście, między przedstawieniem Bernanosa a Dobraczyńskiego występuje wiele różnic jakościowych, wynikających z różnicy talentów i skali pisarskiej. Jednak patrząc na św. Pawła Dobraczyńskiego widzimy jedno z najistotniejszych zagadnień chrześcijaństwa przedstawione w konkretnym historycznie uwarunkowanym i historycznie określonym człowieku. Umiejętność wydobycia poza-historycznych cech takiej postaci jest dużym osiągnięciem autora „Świętego miecza”.

Stronę formalną tego osiągnięcia poddałbym świadomie ostrej krytyce. Skoro jednak dzieło, które obciąża wiele braków przedstawia wyraźnie i przekonująco jakąś zasadniczą tezę, jest na pewno dziełem gruntownego przeżycia twórczego i owocem czegoś, co określiłbym mianem łaski pisarskiej. Wylizanie błędów nie przesłoniło ani na chwilę zasadniczej wartości nowej książki Dobraczyńskiego. Zbogacił nią swoją twórczość o nowe studium najistotniejszego dla niego zagadnienia, zbogacając jednocześnie społeczność na literaturę katolicką o nowe ambicje i nowe próby dotarcia do „sensus catholicus” każdego dzieła.

W zakończeniu jeszcze raz przypomnieć należy, że główną myślą artykułu było skoncentrowanie się na błędach, których pisarz popełniać nie powinien i których łatwiej uniknie, jeśli je wydobędziemy na ostre światło dzienne. Nie trzeba chyba dodawać, że nie każdy twórca i nie każde dzieło składają do aż tak drobiazgowej analizy. Jest ona może smutnym i pozornie przykrym, ale niemal wyłącznym przywilejem twórców i dzieł, których wartości są nam bliskie, cenione przez nas wysoko i traktowane jak najpoważniej. Takim jest Dobraczyński i taka jego ostatnia książka.

Zygmunt Lichniak

Tydzień kulturalny

(Dok. ze str. 6)

Ze względu na to, że w zakresie nauk humanistycznych nie ukazały się dotychczas przełomowe prace, oparte na nowoczesnych metodach badawczych, Komitet Ministrów do Spraw Kultury postanowił w r. b. nagród w tej dziedzinie nie przyznać, natomiast wyróżnić za nowatorskie prace w niektórych dziedzinach nauk humanistycznych: prof. dr N. Assordobraj, prof. dr M. Dłuską, prof. dr S. Kieniewicz, doc. dr G. Labudę i prof. dr A. Schaiffa.

BALET RADZIECKI W POLSCE

PRZYBYŁ do Polski na gościnne występy 68-osobowy zespół baletowy Państwowego Akademickiego Wielkiego Teatru ZSRR odznaczony Orderem Lenina.

W skład zespołu wchodzi m. in. czolowcy tancerze - soliści, laureaci nagród stalinowskich i zasłużeni artyści RSFR: O. W. Lepieszyska, S. N. Golowkina, I. W. Tichomirowa, A. M. Messerer, M. M. Gabowicz, J. F. Holman, W. P. Wasiliewa, W. F. Galecka, N. A. Kapustina, A. J. Raduńska i in. Artystom towarzyszy przedstawiciel Komitetu do Spraw Sztuki ZSRR Tomski.

Po występach w Warszawie zespół baletowy Akademickiego Teatru Wielkiego ZSRR uda się do Krakowa, Katowic, Wrocławia, Poznania i Sopot, po czym powróci do Warszawy na występy pożegnalne.

Na program występów znakomitych artystów radzieckich składają się widowiska i fragmenty baletowe: Czajkowskiego „Jezioro łabędzie” (II akt) i „Dziadek do orzechów” (II i III akty) Asafiewa — „Fontanna Bachczysaraju”, Delibesa — „Coppelia” i in. Program występów solowych zawierają balety z baletów „Spiąca Królewna”, „Konik - garbuszek”, „Płomień Paryża”, „Don Kichot” i „Bajadera” oraz tańce do muzyki Glinki, Czajkowskiego, Rachmaninowa, Asafiewa, Rubinstejna, Moszkowskiego, Wieniawskiego, Dworzaka, Smetany, Liszta, Saint - Saensa, Albeniza i in.

NOWE WYDAWNICTWA

O WARSZAWIE

5 rocznicę ogłoszenia Manifestu PKWN, ukazało się wydawnictwo Zarządu Miejskiego m. st. Warszawy, opracowane w Urzędzie Konserwatorskim p. t. „Dawna Warszawa w odnowionej formie i nowej treści”.

Na treść wydawnictwa składają się interesujące prace: Z. Niesiołowskiej-Rothertowej o „Pałacu Blanka” — dzisiejszej siedzibie Urzędu Konserwatorskiego, W. Podlewskiego o „Warszawie średniowiecznej”, J. Zachwatowicza „Warszawa poza murami starego miasta” oraz P. Biegańskiego o „Robotach konserwatorskich”.

Bogate ilustrowane wydawnictwo zawiera ponadto zbiór najciekawszych prac wykonywanych przy konserwacji, rekonstrukcji i adaptacji obiektów zabytkowych zarówno urbanistycznych, jak i budowlanych w ciągu ostatnich czterech lat.

Tablice statystyczne zniszczeń obiektów zabytkowych, wskutek działań wojennych i robót zabezpieczających w okresie powojennym oraz tablica ilustrująca stan zabezpieczeń budynków zabytkowych w latach 1945—1949, uzupełniają treść godnego zainteresowania wydawnictwa.

ŚLĄSK W GRAFICE

TARNIEM gliwickiego oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków została otwarta w Opolu w salkach Muzeum Miejskiego, wystawa prac grafików śląskich p. n. „Śląsk w grafice”. Prace wystawiają artyści graficy: Tyrowicz, Waniak, Acedański, Wróblewska, Steller i inni.



WARSZAWA.

PL. GRZYBOWSKI 2

Marek Antoni Wasilewski

CZY PRZEWRÓT W GENETYCE?

Od dłuższego czasu byliśmy świadkami zastoju na polu nauk biologicznych. Nie znaczy to oczywiście, by nic się na ich terenie nie działo. Przeciwnie. Dokonywano szeregu odkryć i badań bardzo ciekawych i wartościowych szczególnie dla specjalistów, jednakże nie zachodziło nic, co mogłoby zelektryzować całą opinię światową, bez względu na kierunek jej zainteresowań. W roku 1938 wielkim wydarzeniem dla przyrodników było odkrycie przedstawicieli ryb kwastopletwych, które od dawna uważane były za wymarłe. Rzecz prosta, że tego rodzaju odkrycie ma, bądź co bądź, jedynie charakter wewnętrzny i jego waga zrozumiała jest tylko dla ludzi bliżej tymi sprawami zainteresowanych.

Mogło się wydawać, że wielkie spory przyrodników na miarę dysput z XVIII i XIX wieku należą do bezpowrotnej przeszłości. Wiek dwudziesty charakteryzował się w pewnym sensie stagnacją w dziedzinie biologii. Dopiero rok 1948 stał się tutaj datą przełomową. Rok ten zapoczątkował powstanie nowej teorii biologicznej i rozpętało się prawdziwe burzy w dziedzinie genetyki. Tym razem teoria wyszła ze Wschodu.

Dnia 31 lipca 1948 r. Trefim Łysenko wygłosił referat na Wschodnio-związkowej Akademii Nauk Rolniczych im. Lenina i podsumował kwestię dotyczącą sporu między tzw. genetykami formalnymi i miczurinowcami.

Teoria Miczurina-Łysenki spotkała się z ostrą repliką uczonych anglo-amerykańskich, którzy opierając się przede wszystkim na wynikach badań szkoły Morgana, uważali za stosowne zbagatelizować ją z góry, jako teorię nie naukową, a „polityczną”.

Która strona ma rację? Genetycy formalni, czy miczurinowcy? Na pytanie to nie można jeszcze dzisiaj odpowiedzieć z bezwzględną pewnością. Wszelkie teorie biologiczne aby mogły zostać ogólnie przyjęte, muszą przejść ogólną próbę w laboratoriach i zdać egzamin w licznych eksperymentach dokonywanych przez wielu uczonych w różnych krajach. W Polsce np. przystąpiono już do sprawdzania niektórych doświadczeń Łysenki i jest nadzieja, że za kilka lat uczeni polscy wypowiedzą się na ten temat, operując już swoimi danymi, osiągniętymi na podstawie własnej obserwacji. Nie ulega natomiast kwestii, że nie podważa teorii pogardliwe lekceważenie, którym obdarzają ją Amerykanie, jako produkt sowieckiej biologii marksistowskiej.

Charakteryzując w skrócie nową teorię, można powiedzieć: według Miczurina i Łysenki wszelkie cechy nabyte przez organizmy żywe drogą wpływu wywołanego na te organizmy przez otoczenie, są dziedziczne. Dotychczasowa genetyka oparta na badaniach Mendla i Morgana, ostro się temu sprzeciwia. Łysenko natomiast nie idzie tu na żaden kompromis i jest stanowczy aż do apodyktyczności.

„Materialistyczna teoria rozwoju przyrody żywej — pisze Łysenko — jest nie do przyjęcia bez uznania konieczności (podkreślenie moje) dziedziczenia indywidualnych zmian, zachodzących w organizmie, w określonych warunkach życiowych i bez uznania faktu dziedziczenia cech nabytych”. „Zmienione zawiązki nowych organizmów powstają zawsze tylko dzięki zmianom rodzicielskiego ciała”. „Dziedziczność określa profesor Łysenko jako „właściwość żywego ciała polegające na zadananiu (?!) tłumaczenie z rosyjskiego H. Bireckiej) określonych warunków do swego życia i rozwoju, oraz na reagowaniu w określony sposób na te lub inne war-

runki”. „Dziedziczność jest rezultatem skoncentrowanych wpływów warunków zewnętrznych, przyswojonych przez organizm w szeregu poprzednich pokoleń”.

Dotychczas sprawę dziedziczności ujmowano w sposób znacznie mniej skomplikowany. Pod mianem tym rozumiano podobieństwo pokoleń obdarzonych zdolnością do przekazywania następnym pokoleniom cech tego podobieństwa. (Moczański i Szuman).

Co zarzuca Łysenko dawnej genetyce? Krytykuje on ją w sposób ostry i jak zwykle bezkompromisowy. Przede wszystkim raz ją interpretowanie teorii de Vriesa, jako stojącej na stanowisku nieokreśloności zmian dziedzicznych zachodzących pod wpływem procesów mutacyjnych. Genetycy formalni pojmują te zmiany jako takie, których zasadniczo nie można z góry przewidzieć. Łysenko określa to jako „idealizm” w biologii. Zarzuca on dalej genetyce klasycznej to, że „teoria morganizmu rozwija się dla samej teorii, a praktyka idzie swoim torem”. „W ogóle przyroda żywa w pojęciu morganistów jest chaosem przypadkowych, oderwanych zjawisk, nie podlegających prawom rozwoju. Wszędzie panuje przypadek”. „Na koniec przeciwstawia się Łysenko teorii Weissmana, określając ciągłość plazmy zarodkowej i jej niezależność od ciała, jako niedorzeczność. Nawiasem mówiąc, teorii Weissmana nikt dziś w świecie nauki poważnie nie bierze.

Łysenko tłumaczy dalej, dlaczego jest przeciwny mendelistom-morganistom. Między innymi pisze: „Założenie o nieokreśloności i zmienności zamyka drogę naukowemu przewidywaniu i tym samym hamuje postęp praktyki rolniczej”. Tak samo teoria Szmahausa wpływająca z założenia genetyki formalnej godna jest, zdaniem jego, potępienia, ponieważ „jest ideologicznie niesłuszna i hamuje postęp praktyki”. Łysenko uważa, iż „naukowe rozwiązywanie praktycznych zadań — to najsłuszniejsza droga do głębokiego rozwiązywania praw rozwoju przyrody żywej”. „Mendelizm-morganizm — oświadcza Łysenko — zbudowany jest na przypadkach i tym samym „nauka” ta zaprzecza istnieniu koniecznych zależności w przyrodzie żywej, przez co skazuje praktykę na bezpłodne oczekiwanie. Taka nauka pozbawiona jest elementu twórczego. Taka nauka uniemożliwia prowadzenie planowej pracy, celowe działanie, uniemożliwia naukowe przewidywanie. Nauka zaś, która nie daje jasnej perspektywy siły i pewności, że praktyczne cele będą osiągnięte, niegodna jest, by ją nazywać nauką”. Jak więc widzimy, Łysenko rozszerza tu swoją krytykę poza grunt biologii i wypowiada swoje zdanie o nauce w ogólności.

Łysenko poprawia w pewnych miejscach Darwina, a szczególnie mocno krytykuje go w zakresie pojęcia walki o byt wewnątrz gatunku. Zdaniem Łysenki walka o byt w obrębie tego samego gatunku nie istnieje. Łysenko posuwa się dalej. Zaprzecza on nie tylko istnieniu walki o byt w obrębie gatunku, ale i jakiegokolwiek wzajemnej pomocy między osobnikami tegoż gatunku. Dziedziczenie cech nabytych uważa Łysenko nie tylko za możliwe, ale nawet za konieczne! Dziedziczność jest własnością nie tylko chromozomów, lecz każdej cząstki żywego zomów, lecz każdej cząstki żywego ciała — konkluduje Łysenko.

Jak widać z całego szeregu wypowiedzi tego uczonego, nie zamyka on swej teorii li tylko do stwierdzenia wpływu warunków zewnętrznych na możliwości dziedziczne organizmu, ale wypowiada się ico do całego szeregu bliżej i dalej z tym zagadnie-

nem związanych faktów, budując obszerny „światopogląd biologiczny” własnego typu. Należy zwrócić uwagę na to, jak w znacznej mierze kładzie Łysenko nacisk na bezużyteczność badań mendelistów-morganistów. Wydaje mi się, że jest to jedna ze słabych stron tego uczonego. Otóż trudno jest powiedzieć, które z odkryć hamują, a które otwierają pole do działania praktyki. Iż to już razy w historii nauk mieliśmy do czynienia z odkryciami, które mimo swej słuszności uważane były za bezwartościowe. Dopiero nagle, z biegiem rozwoju danej nauki, okazywało się, że owo dawno zapomniane i pozornie bezwartościowe odkrycie, jest niezbędnym ogniwem, które trzeba wykorzystać w dalszym postępie nauki, aby móc zrozumieć jakiś bardziej skomplikowany proces. Toteż sędzę, że Łysenko zbyt pochopnie lekceważy badania fragmentaryczne, drobne i nie mające chwilowo żadnego praktycznego charakteru. Wiadomo jest, że istnieją wśród uczonych umysły analityczne, specjalnie predystynowane do tego rodzaju zagadnień i umysły syntetyczne, które na podstawie tych wielu pozornie ze sobą niczym nie powiązanych faktów, wypracowują teorie ogólne, jakie mogą mieć kolosalne zastosowanie praktyczne.

Zrozumiałe jest zdenerwowanie ścisłego i matematycznego w ujęmowaniu zagadnień Łysenki z racji wszechstronnego i nie ujętego żadnymi prawami zakresu procesów mutacji. Jest to niewątpliwie słaby punkt nauki o dziedziczności, gdyż nie dostrzegamy tam rządów żadnego prawa, prócz prawa przypadku. Lecz z drugiej strony nie jest to jeszcze sprawa stracona. Być może, że z biegiem czasu uda nam się poznać prawa rządzące kierunkiem procesów mutacji.

Drugim słabym punktem Łysenki, to kwestia przekreślenia zarówno pomocy, jak i walki o byt w obrębie gatunku. Czy przykładem takiej pomocy nie będzie kopicie termitów z klasycznym podziałem pracy między osobnikami na żołnierzy, robotnice i płodne pary królewskie?

Jeśli chodzi o walkę w obrębie gatunku, to współczesna ekologia spotyka się z nią na każdym kroku. Konkurencja między osobnikami jest wszak zjawiskiem niezaprzeczalnym. Ona to właśnie pozwoliła wypracować ekologom pojęcie gęstości optymalnej, powyżej której walka o byt w obrębie gatunku zostrza się w sposób szczególnie jaskrawy.

Przypuszczenia swoje co do wyżej wspomnianych kwestii wysnuł Łysenko, opierając się na wynikach kępkowego sadzenia rośliny kok-sagzy, która o wiele lepiej wyrastała sadzona w skupieniach, aniżeli w rzędach. Łysenko być może nie wziął pod uwagę kwestii, że efekt taki do wódź może nie tylko braku walki o byt między osobnikami, ale i pomocy wewnątrzgatunkowej, której zaprzeczał. Z drugiej strony opisuje przecież Łysenko fakt, że siew zboża w odległych od siebie rzędach daje lepsze wyniki niż w rzędach przybliżonych. Czyż więc nie mamy tu aby do czynienia z przykładem walki o byt w obrębie gatunku? Oczywiście kwestię interpretacji tych sprzecznych ze sobą faktów pozostawić trzeba specjalistom, ale mimo to są to pytania, które wydają się wielce interesujące.

Do niezaprzeczalnie pozytywnych stron Łysenki należy jego atak na pewne przerosły formalizmu w genetyce klasycznej, reprezentowane przez Schrödingera, Castle'a i Weissmana, a nawet i pewne interpretacje Morgana wypływające z przejęcia się

weissmanizmem. Opuścmy rozważania Schrödingera jako fizyka i uczonego nie zainteresowanego bezpośrednio w genetyce, a zajmijmy się Castle'em, którego cytuję za Łysenką.

„W rzeczywistości rodzice nie produkują ani potomka, ani nawet reproduktywnej komórki wyjściowej, z której tworzy się potomek. Rodzicielski organizm jest tylko ubocznym produktem zapłodnionego jaja, czyli zygoty, z której powstał”, „...potomkowie nie są produktem ciała rodzicielskiego, ale tylko produktem substancji rozrodczej, która otoczona jest tym ciałem...”. Widzimy tu, rzecz prosta, wykłuty weissmanizm i jego teorii atakowanej w całej rozciągłości przez Łysenkę, ze względu na absurdalność pojęcia nieśmiertelności plazmy zarodkowej.

To zagadnienie wydaje mi się szczególnie interesujące dla katolika, jako iż wypadałoby nam się w pełni solidaryzować z poglądami Łysenki na tę sprawę. Sędzę, że z punktu widzenia filozofii katolickiej nie do przyjęcia jest stanowisko tak Castle'a, jak i Weissmana, które wprowadza supremację gamet (komórek płciowych) nad somą (ciałem) i tym samym (w ujęciu katolika) tworzy np. z człowieka jednostkę złożoną z trzech niezależnych części: śmiertelnego ciała, nieśmiertelnej plazmy zarodkowej i nieśmiertelnej duszy. Jest to oczywiście absurd. Sędzę, że i w kwestii tego, że gamety są bezpośrednim produktem somy, filozofia katolicka zgodziłaby się z Łysenką. Wobec tego trzeba mocno podkreślić, że mimo etykiety materializmu dialektycznego, którą Łysenko z taką pieczołowitością nalepia na swojej teorii, w niczym nie sprzeciwiałaby się ona światopoglądowi spirytualistycznemu i w razie udokumentowania jej słuszności może liczyć nawet na jóg pełne poparcie. Sprzeczność bowiem istnieje właśnie między filozofią katolicką, a tymi resztkami weissmanizmu, które pokutują jeszcze z rzadka w genetyce klasycznej, nie zaś między tą filofią, a stanowiskiem Łysenki.

Teoria Miczurina-Łysenki przedstawiana jest już od kilku miesięcy w prasie popularno-naukowej. W sposób wręcz fałszywy przedstawił ją Tadeusz Laryssa w dodatku do „Życia Warszawy” pt. „Świat się zmienia”, z września ubiegłego roku. Jasnym komentatorem teorii jest natomiast dr Włodzimierz Michajłow, który poświęcił jej broszurkę zawierającą stenogram jego prelekcji zatytułowanej „Nowy kierunek rozwoju biologii współczesnej”. „W zasadzie uznają ci uczeni (Miczurin i Łysenko), że wzory i reguły Mendla często się sprawdzają i mają swoje zastosowanie — pisze dr Michajłow — ale nie obejmują one całego bogactwa zjawisk dziedziczności przy krzyżowaniu i odchylenia od tych reguł stwierdzono u szeregu organizmów. Przy krzyżowaniu w odpowiednich warunkach może się nawet okazać, że występują cechy nowe, jakie nie występowały u żadnego z poprzedników. Powstanie tych cech można przewidywać i procesem tym pokierować”.

Trzeba jednak przypomnieć, że tego rodzaju wypadki znane są doskonale genetyce formalnej, np. w wy-

padku, gdy krzyżujemy ze sobą kuguta i kurę o grzebieniach orzeszkowych, których rodzice mieli grzebień różyczkowy i groszkowy, wówczas otrzymamy część kur o grzebieniu pojedynczym, którego nie posiadali ani ich rodzice, ani dziadkowie. Również skrzyżowanie ze sobą groszku Lathyrus odoratus o kwiatach białych może dać w pierwszym pokoleniu same kwiaty czerwone. Podobnie ma się sprawa z krzyżowaniem osobników dyni o owocach nie zabarwionych, które na skutek występowania czynników epistatycznych czyli maskujących, mogą dać 3/16 (trzy szesnaste) potomstwa żółtego, mimo iż dziadkowie byli barwy zielonej i nie zabarwieni. Przykładów tego rodzaju można by przytaczać jeszcze wiele i tylko pozornie są one sprzeczne z prawem Mendla, podczas, gdy w rzeczywistości są wynikiem specjalnych kombinacji genowych.

Dalej wspomina dr Michajłow o tym, iż zarówno Miczurin, jak i Łysenko wykazali, że nie jest obojętne z jaką płcią związana jest dana cecha. Kwestię tę przecież rozstrzygnęła uprzednio szkoła Morgana, stwierdzając, że o ile gen warunkujący powstanie danej cechy leży w chromozomie płciowym, to dziedziczenie danej cechy nie odbywa się według sztywnych reguł Mendla, tylko zgodnie z zasadą rozdzielania do gamet chromozomów płciowych. Z tego rodzaju przykładami spotykamy się w wypadku dziedziczenia się np. barwy oczu u muchy owocówki, pasiastego lub jednolitego upierzenia u kur, czy daltonizmu u człowieka.

Dr Michajłow w końcowych rozważaniach dochodzi do słusznego wniosku, odpowiadając na wątpliwość nauczycieli szkół średnich. „Myślę, że z czasem ustali się w szkole taki stosunek, że będziemy uczyli o dwóch przeciwnych teoriach, jak uczymy obecnie o teorii Lamarcka i teorii Darwina”. Nie sposób jest nie pochwalić tak daleko idącego obiektywizmu i przezorności naukowej.

Nie przekonywujące jest natomiast jedno z następujących zdań: „W „Mein Kampf” Hitlera znajdujemy ustępy poświęcone genetyce Mendla. Za czasów Hitlera uczono w szkołach powszechnych tabelek Mendla i Punnetta, których dzieci niemieckie oczywiście nie rozumiały, ale z których czerpano natchnienie dla dalszego wychowywania w kierunku rasistowskim. O tych rzeczach nie wolno zapominać”.

Tak. I nie wolno zapominać o tym, że w najmniejszym nawet stopniu nie dyskredytowało to tablic Mendla i Punnetta. Badania Mendla pochodzą z r. 1865, a prace Punnetta powstały około r. 1911. Nie zostały więc one stworzone na zamówienie Hitlera, a przyjęte zostały przez cały świat naukowy, stanowiąc autorytet zarówno dla uczonych radzieckich, jak i anglosaskich. Nie mam pod ręką egzemplarza „Mein Kampf”, abym mógł postarać się o przykład, ale w każdym razie, jeśli jakiś fakt figurował w tej książce, to nie znaczy to wcale, aby miał on być z tego tylko powodu potępiony, a szczególnie jeśli chodzi o fakt dotyczący nauki, której cele i zadania są przecież

(Dok. na str. 9)

Popierajcie

Katolicki Uniwersytet Lubelski

PROBLEM KARALNOŚCI ZABÓJSTWA

W nrze 26 „Tygodnika Powszechnego” J. Zdrój w artykule pod tyt. „Krok naprzód” omawia projekt St. Chrempieńskiego, dotyczący nowelizacji art. 231 — 234 k. k., opublikowany w Demokratycznym Przeglądzie Prawniczym w kwietniu b. r. Znamienny tytuł: „Krok naprzód” jest oceną postawy St. Chrempieńskiego, która zrywa z dotychczasowym poglądem na karalność przerywania ciąży. J. Zdrój zauważa, iż: „Niezmierznie ważne jest, że właśnie w fachowym piśmie prawniczym strona moralna przerywania ciąży została tak jasno i dobitnie oceniona. Chociaż autorowi nie przyświecały żadne względy wyznaczonej etyki i chociaż powodował się wyłącznie kryteriami prawnymi i społecznymi, to jednak stanął na stanowisku bezwzględniego potępienia przerywania ciąży, jako przestępstwa i to jako zabójstwa człowieka.”

Główny zarzut, który można wysunąć pod adresem projektu, J. Zdrój streszcza w następujących słowach: „...istnieje różnica między zdecydowaną i konsekwentną motywacją Chrempieńskiego, podkreślającą ze względów prawnymoralnych niedopuszczalność przerywania ciąży, a proponowanymi przezeń zmianami dotychczasowych postanowień karnych.”

Ponieważ zajęcie stanowiska wobec zagadnienia, poruszonego w obu wspomnianych artykułach jest wynikiem zapatrywania na kwestie moralno-prawne ogólniejszej natury, warto się nad tymi ostatnimi zastanowić.

1. CO TO JEST ZABÓJSTWO?

Jak rozumie sens terminu „zabójstwo” prawo, a jak moralność? Niektórzy sądzą, że „zabójstwo” jest jednym z tych niejednoznacznych słów, co do znaczenia których prawni i moralni są zgodni. Tymczasem dziś, jest rzeczą widoczną, że tak nie jest. Ze z punktu widzenia prawa, zarówno jak i z punktu widzenia moralności, nie każde pozbawienie życia człowieka jest zabójstwem, to nie ulega wątpliwości. Z etycznego punktu widzenia nie pozbawienie życia, kto pozbawia życia człowieka działając w obronie koniecznej, czy walcząc jako żołnierz strony, prowadzącej wojnę słuszną lub wresz-

cie wykonywując wyrok władzy państwowej.

Pojęcie zabójstwa w prawie karnym wykazuje tendencje bardziej liberalne, choć dosyć niezdeterminowane, bo uzależnione od tego, jak się będzie interpretować wyższą konieczność. (Art. 22; Nie podlega karze, kto działa w celu uchylenia bezpośredniego niebezpieczeństwa, grożącego dobru własnemu lub cudzemu, jeśli niebezpieczeństwa nie może inaczej uniknąć.)

Obecnie istnieją dwie interpretacje zwrotu „nie ulega karze”, użytego w art. 22. Jedni uważają zwrot ten za równoznaczny powiedzeniu: „nie popełnia przestępstwa”, inni są zdania, że w słowach tych mowa tylko o uchyleniu karalności, nie zaś przestępstwa czynu. Druga interpretacja jest bliższa poczuciu moralnemu, które zabicia człowieka niewinnego piętnuje jako zabójstwo. Tylko przy drugiej interpretacji zakres terminu „zabójstwo”, używanego w kodeksie karnym, będzie równoważny zakresowi tego terminu, rozumianego tak jak go rozumie moralność (o ile się przy tym stoi na stanowisku, że dziecko przed urodzeniem jest człowiekiem). Druga interpretacja jest bliższa tendencjom, jakie ujawniają się w prawie międzynarodowym od czasu sławnego procesu prowadzonego przez Międzynarodowy Trybunał w Norymberdze.

2. ZABÓJSTWO A ZASADA WINY

Jak wiadomo wyrok tego trybunału uważa za zbrodnię zabijanie przez okupanta niewinnej ludności cywilnej. Ten moment niewinności pozwala przypuszczać, że milcząco uznaje się zasadę, iż człowieka niewinnego nie wolno pozbawiać życia. Zaprzeczenie tej zasady budzi wstręt. Były jednak wypadki, że jej zaprzeczano. Jako przykład może tu służyć wyrok Wojskowego Trybunału Amerykańskiego z dn. 19 lutego 1948 r. na niemieckich generałów, działających w Jugosławii i Grecji. Bliższe informacje znajdują się w art. T. Cypriana pod tyt. „Czy wolno zabijać zakładników” (Demokratyczny Przegląd Prawn. Nr 3, 1948). Wystarczy zacytować fragment uzasadnienia wyroku, wydane przez wspomniany Trybunał, aby przekonać czytelnika, że wypowiedziany w tym uzasadnieniu pogląd, jest ohydny:

„Nie można zaprzeczyć, że w pewnych określonych okolicznościach rozstrzelanie zakładników lub innych osób celem represji jest usprawiedliwione jako ostatnia możliwość zapewnienia porządku i spokoju na okupowanym terytorium i w konsekwencji wzmacnia pozycję okupanta, działającego wówczas zgodnie z prawem.”

Ujemna reakcja, jaką w nas budzi ten pogląd świadczy o tym, że targnięcie się na życie człowieka niewinnego odczuwamy jako rzecz niemoralną.

Oceniając nasz kodeks karny z etycznego punktu widzenia, trzeba między innymi zwrócić uwagę na problem, czy zasada winy (obiektywnej) — jako jedyna podstawa dopuszczalności niektórych wypadków zabicia człowieka — jest tam konsekwentnie przeprowadzona. Odpowiedź twierdząca na to pytanie będzie można wówczas, gdy założymy że art. 22 wyłącza jedynie karalność czynu, nie zaś jego przestępczość. W zadawalającym stopniu konsekwentny pod omawianym względem byłby kodeks dopiero wtedy, gdyby „rozparcelował” instytucję wyższej konieczności.

3. USTERKI ART. 22

Artykuł ten ma zastosowanie przy tak krótko różnych zachowaniach, jak np. wycięcie żerdzi w cudzym lesie celem uratowania człowieka, tonącego obok w bagnie lub zabicie współtowarzysza niedoli przez złodzieńskich marynarzy rozbitego okrętu i pozbawienie ludożerstwa. Pod art. 22 podciągnięto wypadki tak odmienne, jak gdyby nie zdawano sobie sprawy z tego, że człowieka pozostaje w innym stosunku do własnego czy cudzego majątku, a w innym do drugiego człowieka. W świetle art. 22 człowiek — podmiot prawa — został potraktowany jak rzecz (w sensie prawniczym). Wskutek niejednoznaczności zakresu zastosowania tego artykułu jeden z jego paragrafów, który głosi, że dobro poświęcone nie może przedstawiać wartości odczytanie większej niż dobro chronione — traci określony sens. Zakłada się tu porównywalność wartości człowieka z wartością tak zw. dóbr materialnych. Porównanie to jest niemożliwe, gdyż słowo „wartość” w zastosowaniu do człowieka posiada inny sens niż w zastosowaniu do dóbr materialnych. Ujednolicenie sensu doprowadziłoby do konsekwencji paradoksalnych i napew-

no nie odpowiadających intencjom prawodawcy. Aby uniknąć paradoksalny miernik wartości dla jakiegoś materialnego dobra oraz człowieka, trzeba by tego ostatniego uważać za surowiec dla produkcji mydła ewentualnie za magazyn pewnej ilości siły roboczej, łatwo obliczalnej w jednostkach innej wartości. Gdy chcąc znaleźć wspólny mianownik, przyjęto milczącą konwencję, że życie ludzkie jest dobrem „większej wartości” niż jakiegokolwiek dobro materialne. O ile teza ta ma być prawdziwa w całej ogólności (nawet w zastosowaniu do dzieł i starożytności), słowo „wartość” ma tu inny sens niż rozważany poprzednio. Nie dośłowny — tylko jakiś przenośny. Wiadąc stąd, że omawiany paragraf jest dwuznaczny. Raz ma być rozumiany dosłownie, innym razem przenośnie. Dwuznaczność ta wpływa stąd, że nie zdawano sobie sprawy z odrębności między hierarchią dóbr materialnych, uporządkowanych ze względu na ich wartość wymienną, a hierarchią praw podmiotowych człowieka, z których jedne zachowują moc obowiązującą o tyle, o ile są przestrzegane inne.

Istnieją możliwości innego rozwiązania problemu, ujętego w artykule 22. Oto aby uzasadnić poprawność postępowania, polegającego na tym, że ktoś wycina żerdź w cudzym lesie, aby przysiąc z niezwłoczną pomocą tonącemu, ewentualnie chwyci wiadro sąsiada, aby ugasić pożar na własnym dachu — wystarczyłoby założyć, że prawo do własności, która nie jest niezbędna w danej chwili do utrzymania życia właściciela, jego zdrowia czy bardzo wartościowego majątku, że prawo to podlega pewnemu ograniczeniu: wolno korzystać z cudzej własności, gdy w inny sposób niepodobna uniknąć bezpośredniego niebezpieczeństwa, grożącego czyjemuś życiu, zdrowiu czy znacznemu mieniu.

Przy takim rozwiązaniu stanowisko prawa pokryłoby się ze stanowiskiem moralności. Pod względem moralnym czynny wyżej opisane są bez zarzutu. Nie można tego powiedzieć o drugiej grupie wypadków, podpadających pod art. 22, mianowicie o zabójstwach ze strachu na tle instynktu samozachowawczego. Skoro uzna się zasadę, że tylko państwu przysługuje prawo karania śmiercią („obrona konieczna” daje się interpretować jako poszczególny przypadek tej zasady), wszelkie inne zabicie człowieka będzie przestępstwem. Wypadki zabójstwa ze strachu czy też egoizmu rodzinnego, itp. mogą być rozpatrywane jako uprzywilejowana forma przestępstwa, podobnie jak to ma miejsce z zabójstwem w uniesieniu, czy zabójstwem na żądanie. Gdyby prawo uznało te zabójstwa za czynny dozwolony, o ile ktoś nie ma „szczególnego obowiązku narażenia się na niebezpieczeństwo”, drugi jest zabójstwem.

Tymczasem jednak art. 22 obowiązuje w całej swej wadliwość. Trzeba się z tym faktem liczyć rozwiązując zagadnienie karalności zabójstwa dziecka poczętego.

Instytucja wyższej konieczności jest bardzo niewrażliwa na przestępczość zabójstwa. Pod pewnymi względami jest to społecznie szkodliwe. Jeśli chodzi o zabójstwo z głodu dla celów ludożerstwa, jest to wypadek niezmiernie rzadki, tak że jego bezkaralność nie będzie działała na społeczeństwo demoralizująco. Również wyrzucenie rozbitków do morza w celu uchronienia szalupy od zatonięcia należy do wydatków wyjątkowych. Co się tyczy tak nagminnie popełnianego przestępstwa jak zabójstwo dziecka poczętego, wszelki indyferentyzm prawa umniejsza moralnie społecznego sumienia. Prawo oddziaływać również wychowawczo. Nawet wówczas gdy wprowadza niekaralność jakiegoś występku, o ile przy tym jasno mówi, że dany czyn jest przestępstwem. Tego warunku instytucja wyższej konieczności nie spełnia.

4. ANALOGIA LEGIS

Obojętność prawa na niektóre wypadki zabójstwa do pewnego stopnia jest usunięta przez ograniczenie art. 22 paragrafem, głoszącym, że nie działa w stanie wyższej konieczności, kto ma szczególny obowiązek narażenia się na niebezpieczeństwo. Aby przy obecnym art. 22 zredukować do minimum różnicę między prawnym a moralnym pojęciem zabójstwa, trzeba podkreślić po-

dobieństwo niektórych obowiązków matki względem dziecka do obowiązków jakie przyjmują na siebie osoby, których dotyczy wspomniany paragraf (lekarz, pielęgniarka, przewodnik w górach, żołnierz, marynarz i t. p.). Osobom tym ich własna etyka zawodowa nakłada odpowiedzialność za życie ludzi, którzy się powierzają ich opiece. Choć obowiązki matki nie są regulowane etyką zawodową, ale matka również czuje się odpowiedzialna za życie swego dziecka w stopniu nie mniejszym niż lekarze za życie pacjenta. W pierwszym rzędzie matka czuje nad życiem dziecka, póki jest jeszcze niedołączone i bezradne. Lekarz, pielęgniarka zastępują ją dopiero wówczas, gdy jej umiejętności i wiedza nie wystarczają. Obowiązki lekarza wobec dzieciennego pacjenta to tylko drobny wycinek obowiązków matki też dziecka. To też dziwnie jest stanowisko prawa karnego, że w stanie wyższej konieczności lekarzowi nie wolno zabić pacjenta, natomiast matce wolno wówczas zabić dziecko. Analogia między rolą matki, na łaskę której jest zdane dziecko w najwcześniejszej fazie swego rozwoju, a rolą lekarza, którego powołaniem jest ochrona życia i zdrowia, powinna służyć za podstawę wyeliminowania z zakresu zastosowań art. 22 wypadków zabójstwa dziecka poczętego. O ile art. 22 ma nadal istnieć w niezmiennym kształcie, należałoby w nim dodać jeszcze jeden paragraf, zabraniający matce zabójstwa dziecka poczętego. (Zakaz zabójstwa — to mniej niż nakaz narażenia się na niebezpieczeństwo.)

5. ZASTRZEŻENIA

Wróćmy teraz do projektu St. Chrempieńskiego. We wstępnych rozważaniach autor stwierdza, że zabójstwo dziecka poczętego nie może być uzasadnione wyższą koniecznością. Niejasne jest za tym, na jakiej podstawie autor proponuje niekaralność pewnych wypadków omawianego przestępstwa. Przyjmując niekaralność szczególnego przypadku zabójstwa, nieopartą przy tym (i słusznie) na zasadzie wyższej konieczności, autor wprowadza do kodeksu nieznaną dotychczas w prawie karnym innowację. Być może, że zabójstwo ze strachu przed śmiercią powinno być łagodniej traktowane niż np. zabójstwo w uniesieniu czy zabójstwo na żądanie, ale nie jest rzeczą oczywistą, czy zachodzi potrzeba wprowadzania oddzielnego artykułu o niekaralności pewnych wypadków zabójstwa, jak gdyby nie wystarczały obecne przepisy, dotyczące nadzwyczajnego złagodzenia kary.

Druga kwestia. Ważniejsza. Oto autor zakłada możliwość dopuszczalności wydawania przez lekarza zaświadczeń w tym celu, aby później na ewentualnej rozprawie sądowej zaświadczenie takie służyło za podstawę przeprowadzenia dowodu, że ciąża zagrażała życiu. Mniejsza o to, kto ma wydawać te zaświadczenia. Jakikolwiek lekarz, czy ginekolog, czy wreszcie biegły sądowy. Ktokolwiek by ja wydawał popelniałby przestępstwo, zwane w kodeksie pomocnictwem. W tym wypadku pomocnictwo polegałoby na ułatwieniu kobiecie decyzji zabójstwa przez danie jej do rąk dowodu, na podstawie którego, będzie ona mogła uzyskać uchylenie kary. Jeśli się nawet uzna zasadę, że pomocnictwo do czynów niekaralnych samo też jest niekaralne, to i wtedy nie można od lekarza wymagać, aby postępował wbrew swemu sumieniu.

Dla przeprowadzenia dowodu, że zachodzi wypadek dla którego ustawy przewidują niekaralność, trzeba szukać innych dróg. Więc na przykład może mieć tu głos biegły sądowy, ale już po dokonaniu fakcie. Lecz przede wszystkim wspomniany dowód należałoby oprzeć na meldunku, do składania którego w zakładach zdrowia treboby zobowiązać lekarzy, skoro trafią na wypadek, że ciąża zagraża życiu. Podobnie jak nie wolno ukrywać choroby zakaźnej, nie powinno się zaniedbywać wspomnianych wypadków. Trzeba aby kobieta ciężarną, której życie jest z tego powodu narażone na niebezpieczeństwo zaopiekowało się państwo i zapewniło jej na swój koszt możliwość leczenia się w którymś z pierwszorzędnych zakładów Państwa, mieszczących się dobrą sławą pod tym względem. Wypadki te przypuszczać nie są rzadkie, tak że rozchody na ten cel nie obciążą zbyt budżetu państwowego. (Chociaż powinny się znaleźć fundusze na budowę odpowiednich zakładów, na popieranie prac naukowo-badawczych w pewnych gałęziach medycyny i t. p.)

Co się tyczy omawianego to projektu nowelizacji k. k., w nim jeszcze rozpatrywana ewentualność dania pierwszeństwa względowi na eugenikę

społeczną przed zasadą ochrony życia. Ponieważ stosowana w praktyce przez okupanta taka hierarchia zasad stała się u nas mocno niepopularna, zbyt często jest podawane argumenty przeciwnie, które zresztą podał już sam autor, a tylko później projekt swój uzupełnił artykułami, jakie mógłby sformułować fikcyjny oponent, któryby się z autorem nie zgadzał.

Mimo wypowiedzianych tu zastrzeżeń trzeba podkreślić pocieszający fakt, że onosił reformy k. k. znajdując zrozumienie wśród prawników. Miejmy nadzieję, że projekt tej reformy osiągnie maximum perfekcji i że wreszcie zostanie zrealizowany.

Zwłoka przynosi ogromne straty, zwłaszcza że od ćwierćwiecza liczebność zabójstw dzieci poczętych osiągnęła rozmiary coraz bardziej powtarzającej się klęski w skali powstania warszawskiego. Z tej kilkusetkrotniej masy przestępstw ujawnia się zaledwie nikły ułamek pro... nie procentu ale promil. Obecna ustawa jest taka, jakby jej wcale nie było.

Maria Budzanowska

Stanisław Pagaczewski

RYNNY SPIEWAJĄ

Rynny śpiewają deszczem i muchy brzęczą na oknie — wczoraj śpiewały świerszcze dziś malwy w deszczu mokną.

Wczoraj wplątany w drzewa księżyc oliwą ociekł — dziś woda się przelewa z czarnych beczek chłupotem.

Deszczem, deszczem płyniemy, domy, ogrody i pola — melodia cienkich strumieni w krzyżkach i bemolach.

Basem zabrzęczy mucha w szklanej, okiennej niewoli, w rynnach pozieleniałej dźwięczy deszczowy wiolin.

Elżbieta Heydel

JAKIŚ WIECZÓR

Przygasa kolorowe miasto, cień tłumi kroki. Na miękkich skrzydłach śma przyniosł błękit i spokój.

Jak białe wino sączy lampa światło przez liście. Bardzo realnym staje się nierzeczywiste.

Komitet Wydawnictw Naukowych

ZARZĄDZENIEM Ministra Oświaty powołany został przy Departamencie Nauk Ministerstwa Oświaty, Komitet Wydawnictw Naukowych i Podręczników dla Szkół Wyższych. Komitet kierować będzie akcją wydawniczą, w szczególności w zakresie podręczników dla szkół wyższych.

Do zadań Komitetu należeć będzie ustalenie ogólnego planu wydawniczego w zakresie książek naukowej i w zakresie podręczników dla szkół wyższych oraz kwalifikowanie do wydania zgłoszonych lub dostarczonych na zamówienie prac, na podstawie wniosków sekcji.

Powołano trzy sekcje: humanistyczną, matematyczno - przyrodniczą i techniczną.

Czy przewrót w genetyce?

odrębne od celów i zadań hitlerowskiej polityki. Toteż argument przytoczony przez dra Michałowa wydaje mi się zupełnie nieprzekonywający. Przejdźmy teraz do ostatniej kwestii. Która z teorii genetycznych zwycięży? Odpowiedź jest nielatwa. Być może, że odkrycia naukowe doprowadzą je do pewnego kompromisu. Nie jest to wcale niemożliwe. Jedna natomiast rzecz jest pewna: bez względu na to, czy Łysenko ma rację, czy nie, ZSRR odniesie z jego doświadczeń ogromne korzyści, bo jest niezaprzeczanym faktem, że metody Łysenki przyniosły owoce i wspaniałe rezultaty. Z tym zgadzać się muszą wszyscy, których obiektywizm nie został przyćmiony przez nieprzychylną wszystkimu co sowieckie propagandę amerykańską. Spór może się toczyć tylko o interpretację pewnych faktów, nie zaś o nie same.

Dla biologów fakt ogłoszenia referatu Łysenki winien być zadawalający bez względu na ich zapatrywanie. Pojawia się bowiem to, co można trywialnie określić, jako „ruch w interesie”. Nie chodzi tu ciągle o to, czy Łysenko ma rację, czy nie. To zupełnie inna sprawa, o której przekonamy się za kilka lat. Idzie o to, że takie „ruchy w interesie” nie pozostają bez wpływu na naukę. Badania w takich okresach idą ze zdwojoną energią, wyciąga się wszystkie możliwe argumenty pro- i contra, buduje się gmach nauki szybciej niż w okresie stagnacji. Trzeba mocno podkreślić, że biologii po dłuższym urlopie „ruch” taki się dawno należał.

Marek Antoni Wasilewski

Czytelnik uważa, że...

W mniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia społecznego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów

NIEPRZYWOITOŚĆ

P. Kisielewski napisał dowcipny list do redakcji „Dziś i Jutro” i otrzymał na niego jeszcze dowcipniejszą odpowiedź od p. Główni. Ale odpowiedź nie była wyczerpująca, dotyczyła bowiem tylko jednej części listu, tej, która obchodziła p. Główni. Druga część pozostała bez odpowiedzi.

Nie sądzę, żeby ktokolwiek (poza mną), zechciał odpowiadać na tę część drugą listu dowcipnego felietonisty z „Tygodnika Powszechnego”. Jest ona bowiem niesmaczna i nieprzystojna w najwyższym stopniu i nikt w takie rzeczy nie zechce się mieszać, dlatego po prostu, żeby nie przesmerzać. Ale trzeba odpowiedzieć, bo list uznanego felietonisty może pozostać osad wątpliwości w rzeczach obyczajnych, co nie jest pożądane dla czytelników przyzwoitego pisma.

Przy końcu listu p. K. występuje przeciw pewnemu czytelnikowi, który piętnuje wycieczkę erotyczną jakiegoś filmu, oburzając się, że treść filmu gra na najniższych instynktach widzów. A propos tego p. K. „dowcipnie zauważa”, że każdy z nas zawdzięcza swoje życie erotycznym wyczynom naszych rodziców i zapytuje, w jaki sposób możemy zawdzięczać życie „najniższym instynktom”?

Osoby o prostactkich gustach zobaczą w tym rozumowaniu „dobry kawał”. Co więcej uznaje go za nieodparty argument za pornografię. Bo do tego rzeczywiście prowadzi to rozumowanie. Usprawiedliwia ono wszelki bezwstyd, nierząd, cynizm. Bo i dlatego milczeć, wstydzid się czynności naturalnych, żywotnych, koniecznych? Przeciwnie, trzeba o nich głośno mówić, pisać, pokazywać. Precz z pruderią! Niech żyje prawda życiowa, nagłość, wolność, itd.

Poglądy te nie są nowe. Już to u Kisielewskiego o nowości. Od stu przeszło lat rycerze nierządu walczą o swoje prawa i szerszą bezwstyd. Przynać trzeba, że działały bardzo dużo. Nie będę tego wykazywał na przykładach. Sam Kisielewski wydał powieść pornograficzną i nie przestał być pisarzem katolickim! W dalszym ciągu jest wenerowany (od Wenery?) zarówno w „Tygodniku Powszechnym”, jak i w „Dziś i Jutro”. Toteż jego wypowiedź na ten temat nie jest niespodzianką. Wydaje mi się, że poczucie wstydlivosti i jego potrzeby jest mu tak obce, że nikt w świecie, a cóż dopiero ja, nie byłby mu w stanie go wytłumaczyć. Ślepy i kolorowy! Nie jemu też będzie się starał odsłaniać błąd jego sofizmu, ale czytelnikom, którzy mogą mieć jakies wątpliwości.

Najpierw przykład. Wszyscy ludzie podtrzymują swoje życie jedzeniem. Jest to czynność bardzo ważna i życiowa. Bez niej niemożliwe jest życie. Podstawa istnienia. Czy jednak ktokolwiek będzie z niej czynił przedmiot poematów, powieści, dramatu, obrazu czy rzeźby? Czy będzie kto walczył o prawo do szczenia tej sprawy? Ktoby tak robił, zostałby nazwany prostakiem, bydlęciem, słowem — człowiekiem nieprzyzwoitym, który nie ma nic do powiedzenia w rzeczach sztuki czy filozofii. Taka wyjątkowość, czy przewaga tematu, byłaby jakas mania, urazem, chorobą, ograniczeniem.

Otóż to właśnie nazywa się nierządem, oczywiście, w najogólniejszym znaczeniu tego słowa. Nierząd, czyli brak rządzenia samym sobą, brak opowania czynności podstawowych, ale właśnie dlatego niższych, bo umożliwiających wyższe, duchowe życie. Kto ich nie opanuje, nie jest w stanie myśleć o rzeczach wyższych, jak nauka, sztuka, religia, filozofia, bo musi tkwić w czysto zwierzę-

cych, życiowych, czyli fizjologicznych wyobrażeniach, upodobaniach, rozumowaniach. Nikt nie dowodzi tego, co oczywiście nikt nie będzie się upierał i bez końca powtarzał, że sardza jest czarna, choć temu się nie zaprzecza. Ale kto tak czyni, dowodzi swego obłądzenia umysłowego. Mówi się i pisze o rzeczach mało pewnych, nieoczywistych, możliwych. W tym tkwi wszelka nieprzyzwoitość i bezwstyd. Tu leży uzasadnienie dla wstydlivosti.

Ważne to jest szczególnie, gdy chodzi o dziedzinę płciową. Tu więcej, niż gdzie indziej, potrzebna jest dyskrekcja, bo jest to dziedzina najściślej osobista i nikt nie ma do niej prawa, żadna oboja osoba. Brak zaś opanowania, czyli nierząd płciowy, wywołuje brak opanowania u bliźnich (kolegów, czytelników), szereg nierząd, jak zarazę (a i ją też) i powodując niezmiernie szkody, głównie moralne. Już mniejsza o fizyczne. Syfilis jest tylko słuszną zapłatą, a często dobrodziejstwem. Ale bezwstydność nie jest w stanie myśleć i czuć czysto. Wszelkie brudzi, do czego się dotknie, bo wszystko sądzi tylko sobie dostępnymi kryteriami maniaka. Dlatego Kościół przywiązuje do czystości tak samo wielką wagę, jak do pokory.

„Instynktami najniższymi” nie jest więc czysta i święta siła natury, której zawdzięczamy życie, ale bezwład woli w jej uporządkowaniu i kierowaniu, co narusza równowagę ducha i powoduje anarchię życia umysłu i ciała.

Z. Jakimiak

DRUGA ODPOWIEŹ P. GŁOWNI

Odpowiadając na drugą notatkę p. Główni („Dziś i Jutro” nr 29) stwierdzid muszę, że chociaż tej notatki oczekiwałem, spodziewałem się po niej znacznie więcej. Sądziłem mianowicie, że znajdzie w niej to, czego brakowało pierwszej, tj. argumenty natury gospodarczej, historycznej i filozoficznej. Tymczasem znalazłem jedynie gorący, a głośliwy wyraz osobistych, a żarliwych p. Główni przekonani, oraz wzmożenie pasji polemicznej, nic więcej.

W tej swojej postawie jest p. Główni kontynuatorem smutnej polskiej tradycji antyintelektualnej. Twierdząc, że polskie nieszczęścia ostatnich stu lat wynikały nie z braku realizmu, lecz z braku intelektualizmu, z niezrozumienia prawdy, że dzwignią współczesnej historii są wielkie ruchy umysłowo-ideologiczne, wyrażające sobą dążenia masowe. W Polsce wierzono jedynie w fakty dokonane: albo pod wpływem romantyków, w mesjanistyczne cuda, albo, pod wpływem endeckich czy sanatorów, w zrzeczenie, zawiadanie „kanty”. Odbiło się to np. przed wojną na stosunku wielu inteligentów polskich do marksizmu: widziano w nim praktykę, siłę polityczną i militarną, lekceważono natomiast jego ładunek filozoficzny, nie zdając sobie sprawy, że jałowe i abstrakcyjne naprzód rozważania na temat dialektyki, zasady jedności przeciwieństw czy teorii ewolucji są kto wie, czy nie najskuteczniejszą jego bronią historyczną. A przecież wystarczyłoby zapoznać się z czymś nie coś z dziejami nowożytnymi Europy, aby stwierdzić, że zawsze sformułowania ideologiczne, teoretyczno-filozoficzne poprzedzały realizację wielkich przemian politycznych i społecznych. I tak dzieła filozoficzne i literackie francuskich encyklopedystów, Voltaira czy Rousseau'a przygotowały grunt pod Wielką Rewolucję Francuską i stworzyły atmosferę ideologiczną dla przyszłego państwa mieszczańskiego; kupiec angielski podbijający świat opierał się na klasycz-

nej koncepcji ekonomicznej, sformułowanej przez Adama Smitha i Davida Ricardo; heglizm był kuźnicą duchowej potęgi Prus; filozoficzne rozważania Marksa, Engelsa, Plechanowa i Lenina przeobraziły 1/6 globu; nawet tak prymitywne, żarłoczne egoistyczny i niszczycielski prąd jak hitleryzm, poszukał sobie intelektualnej legitymacji w ksiązkach Gobineau i Nietzschego. Tylko w Polsce nie wierzono w ksiązki i rozmyślenia, wierzono natomiast w mesjanistyczne cuda lub „cwaniacką taktykę”. Rezultaty wiadome, mimo to p. Główni kontynuuje...

Twierdziłem, że liberalizm, niezależnie od wszelkich chybotliwych realizacji pod niego się podsywających, jest żywym i twórczym kierunkiem ideowym, kierunkiem, którego humanistyczne założenia i społeczno-gospodarcze sugestie znajdują sobie drogę do czasów dzisiejszych, z ich skomplikowaną, masową problematyką, aby wykażać p. Główni, że nie twierdziłem tego głośliwie, posługując się cytatem z autora, który na pewno dla p. Główni będzie autorytetem. Autorem tym jest marksista, prof. Adam Schaff.

Trzeźwość i zdolności realizacyjne marksistów są na pewno p. Główni b. dobrze znane i na pewno mu bardzo imponują — z drugiej strony nie sposób posiadać marksistę o sympatię dla teorii liberalnych. Omawiając koncepcje ekonomiczne Adama Smitha i Davida Ricardo które uważam, są za pierwowzór ekonomii liberalistycznej, prof. Schaff pisze (Wstęp do teorii marksizmu” str. 15—16):

„Klasyczna ekonomia angielska stworzyła teorię wartości opartą na mierniku pracy. Teoria ta głosiła, że każda wartość to wytwór pracy i stąd praca jest miernikiem wartości. Logiczną konsekwencją tej teorii wyraża się twierdzeniem, że praca będąc twórcą wszelkiej wartości posiada do niej szczególne prawa. Ale w tym tkwił kamień obrazy dla społeczeństwa burżuazyjnego i dla jego sposobu myślenia. Nauka burżuazyjna jakby nastraszyła się konsekwencji własnych badań. Następuje skostnienie teorii ekonomicznej w szkole manchesterkiej i odłód burżuazyjna ekonomia polityczna nie wróci już do klasycznych wzorów”.

Jak z tego widać, prof. Schaff przedstawił sprawę stosunku pierwotnej koncepcji liberalnej do jej kapitalistycznej pseudo-realizacji w sposób analogiczny do mojego. Może ten cytat skłoni p. Główni do namysłu i do zapoznania się z tymi i owymi źródłami, oraz powstrzyma go od apodyktycznego i gwałtownego wypowiedziania twierdzeń nie opartych na niczym, poza jego (uroczą zresztą) ignorancją. Na dalsze noty polemiczne p. Główni (jeśli takowe się pojawią) odpowiadać zamierzam tylko w tym wypadku, o ile zawierają będą rzeczywiste argumenty i dowody przestudiowania kwestii, nie zaś jedynie egzaltowane a puste inwektywy. Nawiązując jeszcze raz do mądrości starych rosyjskich powieści, przypominam wreszcie p. Główni jedno z nich: Uczyś, uczyś, aficerem budiesz.

Stefan Kisielewski

P. S. Nie twierdziłem, że p. Główni dobrze znam, lecz, że jest on moim dobrym znajomym. Dobry znajomy w powszechnej u nas nomenklaturze oznacza człowieka, z którym chodzi się na wódkę i kawę, lecz o którego poglądach i charakterze wie się niewiele.

S. K.

UCZNIOWIE BEZ MISTRZA

Pierwsze dni sierpniowe są tak nasycone wspomnieniami z okresu powstania warszawskiego, że, spod tej osłony ledwo prześwitują tamta rocznica sprzed 35 laty. A jednak właściwie jubileusz... Może by dla mnie minął bez echa, gdyby pewna ręka nie trąciła mocno struny wspomnień. Ręka Pawła Jasienicy. (Mistrz i uczniowie, Tygodnik Powszechny, Nr 29 227). Artykuł poświęcony pasjonującemu wciąż zagadnieniu polskiego irracjonalizmu politycznego, tym razem w związku z książką Jędrzeja Giertycha „Pół wieku polityki polskiej. Uwagi o polityce Dmowskiego i polityce polskiej lat 1919—1939 i 1939—1947”.

Stanowisko Jasienicy w tej sprawie jest sprecyzowane nie od dzisiaj i nie budzi we mnie zasadniczych zastrzeżeń. A zatem nie polemika, lecz na jubileusz trochę impresjonistycznych rozważań.

Pisze Jasienica: „Giertych słusznie dowodzi, iż wpływ Dmowskiego oraz jego stronników udaremniły wówczas (w początkach XX w. — przypisek mój) rozmaite próby powstańcze. Krótko mówiąc — Dmowski sprawił, że w r. 1914 rekrutacja Polaków do armii carskiej odbywała się bez przeszkód. Złe to było, czy dobrze? W całościwie zgódzie z Giertychem twierdzą, że dobrze”.

I dalej pisze Jasienica: „Trzydzięci i parę lat temu, kiedy uczono mnie pisać...”. Ponieważ w r. 1914, o którym mowa, mogłam już być coś podobnego powiedzieć: „Bliźko dwadzieścia lat temu, kiedy mnie uczono pisać...” zatrzymam się przy tym twierdzeniu Giertycha, który mnie już przy czytaniu jego rzeczy mocno zafrapował.

Rekrutacja Polaków na terenie Królestwa Kongresowego w r. 1914 odbyła się wprawdzie bez przeszkód, ale trwała przez jeden zaledwie rok wojny, gdyż zakończyła się z ewakuacją wojsk carskich, w 1915 r., też w sierpniu. Przy ówczesnym rosyjskim, dość łagodnym dla inteligencji cenzurze rekrutacji dało to armii carskiej kontyngent stosunkowo skromny, ilość ochotników była niewielka, a próba tworzenia legionu speszła właściwie na niczym. Sama więc rekrutacja nie może jeszcze stanowić w tej sprawie sprawdzianu. Prawdą jest jednak, że odezwa Wielkiego Księcia Mikołajaja Mikołajewicza wywołała na terenie Kongresówki istny wybuch lojalizmu w stosunku do Rosji carskiej. Trudno więc mówić o nastrojach powstańczych. Jak to stwierdza Jasienica „samo wspomnienie o współpracy Polaków z caratem budzi odrazę”. Wspomnienie to istotnie nie przestało być przykre, można jednak dziś, wobec ogromu późniejszych wypadków, rozpatrywać je spokojnie.

Zachodzą tu zatem dwa pytania: zle, czy dobrze i jaki w tym był udział Dmowskiego?

Odpowiedź na pierwsze pytanie potrąca zawsze o bardzo sztuozne zagadnienie — coby było, gdyby było?

Można powiedzieć, że wynik wojny 1914—1918 był dla Polski wprost fantastycznie korzystny, że zatem wszystko, co by w jakimkolwiek stopniu bieg wypadków zmieniło — byłoby źle. Można też powiedzieć, że korzyści tego wyniku były tylko pozorne i nie zostały wyzyskane, z tego punktu widzenia rozpatrywać objawy, któreśmy obserwowali wówczas. To drugie podejście wydaje mi się osobliwie słuszniejsze i dlatego nie mogę, równie śmiało, jak Giertych i zgadzając się z nim w tym jednym punkcie, Jasienica, z całym spokojem stwierdzić, że to było dobrze. Bo nie wystarczy być zadowolonym, że się nie popełniło szaleństwa, trzeba jeszcze wiedzieć dlaczego.

I to nas doprowadza do drugiej sprawy: wpływu Dmowskiego i jego stronników na postawę społeczeństwa w stosunku do ówczesnej Rosji. Wydaje mi się — zdaje sobie sprawę jak trudno właśnie ludziom z mego pokolenia sądzić te czasy — że ten wpływ był dużo mniejszy niż się to wydaje Giertychowi, a nawet tak wytrawnemu sędziemu jak Paweł Jasienica.

Nie chcę przez to umniejszać wartości Dmowskiego, którego niewątpliwie nie doceniałam wówczas i długo potem. Na terenie międzynarodowym nikt mu potem nie dorównał. Myślę, że rola Dmowskiego dlatego była mała, że podłoże tej postawy nie było

polityczne, a społeczne. Był to tylko odruch zadowolenia społecznego pewnych warstw posiadających w obronie gospodarczego status quo.

Mówiło się nieraz w owych czasach, że „endekiem” trzeba się urodzić. Dziś wiem, że to była przesada. Wydaje mi się nawet, że po tych trzydziestu pięciu latach przyglądania się polskiemu życiu politycznemu mogłabym zaryzykować receptę na zrobienie „endeka”.

Zasadniczym składnikiem jest tu owo niezachwiane przekonanie o swoim ciężarze gatunkowym, o swym zasadniczym znaczeniu dla narodu, o swym prawie do sądenia ze swego tyłku punktu widzenia, które charakteryzuje drobne mieszczaństwo, warstwę w Polsce najęfabszą, historycznie niedorozwiniętą. Ona to raczej niż średnie mieszczaństwo stanowiała wówczas bazę społeczną Narodowej Demokracji. Na ten charakter składa się kompleks niższości, reakcja według teorii zagrożenia, zaściankowość (jakby tu się uszczec gromów Jakimiaka!).

Nie chcę zresztą łączyć z ówczesnym lojalizmem filorosyjskim tej jednej warstwy, była ona tylko ta, która dała mu wtedy wyraz najsiłniejszy. Objął on jednak w Kongresówce ogół warstw stojących po stronie społecznego status quo. Dążenie do politycznego status quo, które z takiej postawy wynikało, było przy tym tylko koniecznością a nie wtyczką. Związanie tego rodzaju mas partyjnych z myślą polityczną Dmowskiego i kilku ideowych przewodców tego kierunku było więc właściwie przypadkowe i to stało się powodem degeneracji tej myśli. Nieliczna w Kongresówce grupa gotowa zaryzykować swój stan posiadania, była w zamian uzyskać przewrót w stanie politycznym kraju, została niemal automatycznie związana z myślą polityczną Piłsudskiego, która dlatego dla wielu z nich pozostała do końca w dużej mierze tajemnicą. Stąd obciążenie dla obu grup: dla Sanacji niemożność ustalenia własnej treści ideowej (miała tylko podstawy polityczne), dla Endecji niemożność utrzymania linii polityki zagranicznej.

Do dalszej degeneracji myśli politycznej tej ostatniej grupy przyczyniło się niewątpliwie odsunięcie jej po s. 1926 od tego sprawdzianu, którym jest polityka zagraniczna. Mimo straszliwych spaczni, do których poleka myśl polityczna doprowadziła koncepcja „mocarstwowości” — jest, jak to słusznie podkreśla Jasienica, znacznie trudniej lekceważyć sobie interes przeciwnika w polityce zagranicznej niż w wewnętrznej.

Jałowe byłoby wymienianie wszystkich „drogi w lewo”, które ominęła polska myśl polityczna, w warunkach, w których liberalizm kapitalistyczny był dla wielu tylko symbolem awansu społecznego, czymś w rodzaju białego kolnierzyka.

Jeżeli się nie mylę, to berliński „Fliegende Blätter” w owych czasach dawał rysunki, w których jakiśkolwiek przedmiot był wpleciony misternie w coś, z czym nie miał nic wspólnego. Pod obrazkiem napis np. „Wo ist die Katze?”. Trzeba się było długo wpatrywać zanim się spostrzeżło kotka ukrytego w modnym uczesaniu damy, lub niemowlę w gałęziach kwitnącej wiśni. Gdy się to jednak raz zobaczyło, pozostawało to jak najbardziej widoczne. Tak samo jest z problemami społecznymi. Tym, którzy je widzą — trudno jest zrozumieć dlaczego inni koła zauważać nie mogą!

Lecz jakiegokolwiek bywają tego powody jedno jest chyba bezsporne — to, że bez względu w całość interesów narodu lub zespołu narodów, bez właściwej oceny wypadkowej sprzecznych z sobą interesów, nie ma polityki, nie ma sztuki przewidywania.

Kamila Kętrzyńska

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

JANA DOBRACZYŃSKIEGO

ŚWIĘTY MIECZ

Powieść o świętym Pawle

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Cena 1200 zł.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i sobót, godz. 12.30 — 13.30

Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 180 złotych

Druk. Skolimowska 5.

B-80261